Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI — *Niedziela, dnia 16 stycznia 1938 r.* — Nr. 3

ZIMA

Przemknęła się za oknami, biała i cicha,
Nie słyszeliśmy, jak idzie, ni jak oddycha,
Nie słyszeliśmy, jak zwolna, chyłkiem się skrada
Wczesnym świtem, nim odejdzie ta nocka blada.

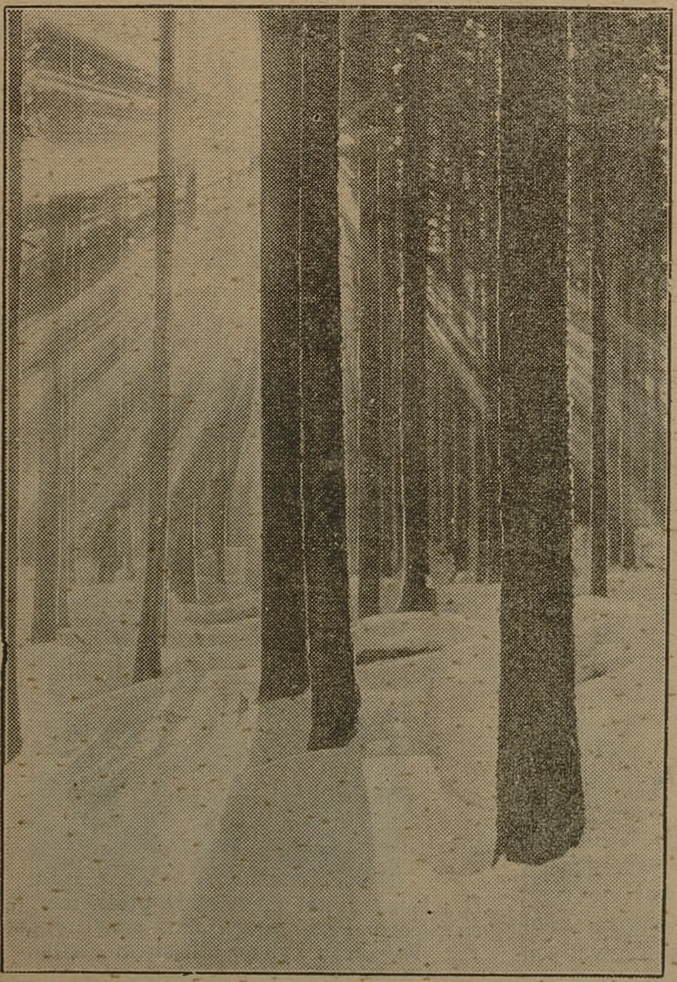
Rankiem tylko ujrzeliśmy, jak tam, gdzieś w lesie
Zamieniła wszystkie drzewa w srebrne pieśni,
Jak ubrała je w puszyste, bielutkie puchy,
By ich do cna nie przewiały wiatru podmuchy.

Nikt nie widział, skąd przybyła ni z jakiej strony —
Osędziały tylko nagle buki i klony,
I kasztany, i te brzózki o korze białej...
Kwiat się nagle w srebrną przędzę omotał cały.

Wyglądamy przez okienko... — co się dzieje?
Wszystko w oczach nam się srebrzy, wszystko bieleje —
Wszędy cichość się całunem bielutkim kładzie...
Przemknęła się niewidzialna... Przepadła w sadzie.

Wychodzimy na próg chaty... patrzym, po niebie
Biały obłok się nad sadem, w górze kolebie...
Spoglądamy zdumionymi wkoło oczyma...
— Co się stało? Co się dzieje? Czy to już zima?

H. D.



ADAM CZEKALSKI

15)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

— Dobry wieczór — rzekł Krajewski cicho. — Niech pani nie okazuje zdziwienia. Pani mnie zna, prawda? Jestem komisarz Krajewski. Muszę z panią zaraz porozmawiać. Ale nikt nie może wiedzieć, jaka będzie treść naszej rozmowy.

Lila rozejrzała się trwożnie dokoła.

— Ale gdzie? — szepnęła. — Borowicz nie odstępuje mnie ani na krok.

— Przy następnym tańcu powie mu pani, że przyobiecałaś mi taniec najbliższy. W tańcu porozmawiamy. Sprawa niezmiernie ważna. Tylko baczność! Z niczym nie wolno się pani zdradzić, bo na tym przede wszystkim pani pierwsza ucierpi.

— Dobrze, dobrze, panie komisarzu.

— Pani znajduje się pod działaniem hipnotycznym Borowicza, ale to nic, to nic — otrzyma pani antidotum, które zneutralizuje wszelki wpływ hipnotyczny tego pana. Ale...

Borowicz wszedł do sali i szybkim, drobnym krokiem zaczął się zbliżać do Lili i komisarza. Krajewski uśmiechnął się beztroskim uśmiechem do Krupińskiej i odezwał się głośno:

— Tak, tak, łaskawa pani — ten raut, to finalizacja bardzo wielkiej partii naszych towarów dla rynku indyjskiego. Ale — to panią pewnie najmniej interesuje. Więc nie mówmy o tym.

— Przeciwnie, proszę pana, interesuje mnie to tym więcej, że ja tu pełnię prawie oficjalną rolę przedstawiciela fabryki mojej matki.

— Czy być może? Ach, to była idealna myśl, bo taki piękny prokurent wiele może zdziałać, czy nie tak, panie doktorze? — zwrócił się komisarz już wprost z tymi słowami do Borowicza.

— Nie wiem, o czym państwo rozmawialiście, dlatego nie mogę dać właściwej odpowiedzi — rzekł Borowicz tonem jakby nieco przymuszonym.

— Nie przeszkadzam — skłonił się Krajewski — ale pozwolę sobie zgłosić się po obiecany mi taniec. Czy będzie można?

— Owszem — odrzekła z uśmiechem Lila.

— Co chciał od ciebie, pani, ten człowiek? — spytał surowo Borowicz, gdy komisarz oddalił się.

— Ach, nic nadzwyczajnego — poprostu prosił mnie o taniec.

— I pani mu odmówiłaś?

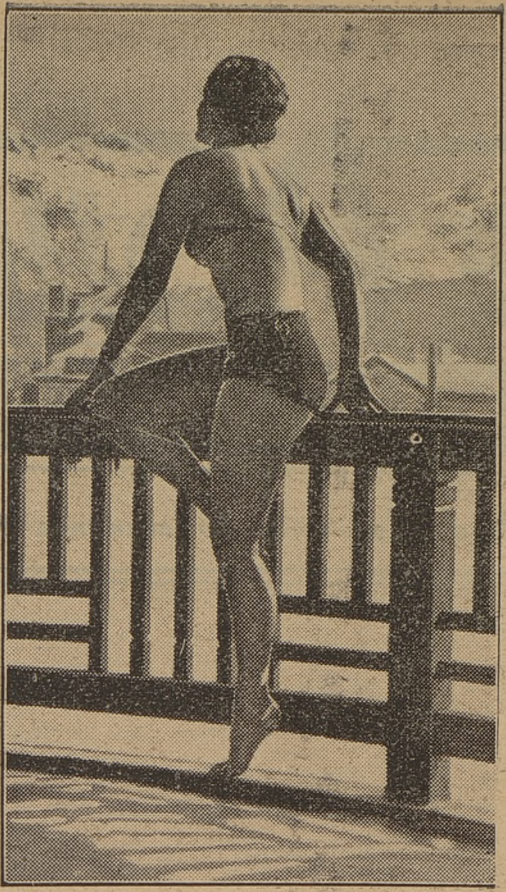
— Przeciwnie, przyrzekłam mu ten taniec.

Borowicz wykrzywił usta w przelotnym grymasie niezadowolenia.

Muzyka zagrała jakieś tango i zaczęto ruszać się do tańca. Przed Lilą wyrósł Krajewski i skłonił się z galanterią.

— Pani była uprzejma... — wyrzekł, zdając się nie widzieć Borowicza.

Lila podała mu ramię i oboje wmieszali się zaraz w tłum tańczących. Borowicz stał na miejscu, zapatrzony w smukłą i elastycznie się przeginającą w biodrach Lilę, gdy dotknięto z lekka jego ramienia. Obejrzał się. Przy nim stał przewodniczący delegacji, poważny i surowy Hindus.



Idealnym spędzeniem wakacyj zimowych, to kąpiel słoneczna w górach.

— Dziesięć dni zostało ci do ostatecznego ukończenia sprawy, John — rzekł przenikliwym, mocnym głosem.

— Wiem o tym, panie. Czynię wszystko i jestem pewny zwycięstwa.

— Dostałem wiadomość, aby sprawę przyspieszyć. Coś tam zaczyna się wikłać. Podobno poseł polski dowiedział się o sprawie i usiłuje interweniować.

Borowicz spojrzał mocno w oczy przewodniczącego.

— To nieprawdopodobne. O sprawie nikt nie wie. Krupiński uchodził za obywatela angielskiego i tylko skarb cesarstwa Indii może wznosić pretensje po terminie wyznaczonym przez sąd dla zgłaszania praw do spadku.

— Tym szybciej właśnie musisz działać.

— Dobrze, panie.

— Punktualnie w oznaczonym czasie opuszczamy Polskę i Europę.

Przewodniczący odszedł, a Borowicz udał się do telefonu. Tymczasem Krajewski, tańcząc wolno i elegancko z Lilą, szeptał jej nieznacznie do uszka:

— Teraz dopiero rozpocznie się ostateczna rozgrywka. Walka zaledwie rozpoczęta. Ten człowiek ma jakiś inny, daleko ważniejszy cel przed sobą, niż tylko zdobycie pani. I dlatego, nauczony gdzieś w Indiach przez wtajemniczonych yogów, teraz próbuje na pani i jej najbliższych siły swoich oczu.

— A jak ja się mam zachować, komisarzu.

— Tst! Niech pani nie nazywa mnie komisarzem. A á propos pani zachowania, to proszę udawać, że pani go rozumie i sprzyja mu. Proszę nie sprzeciwiać się jego woli, wtedy nie będzie stosował do pani moralnego przymusu. To pozwoli nam na skupienie wszystkich zainteresowanych sił w walce z tym panem. Jeżeli będzie prosił panią o towarzystwo do kawiarni, restauracji lub na dancing — proszę się godzić, okazywać mu nawet przyjaźń, zagrać bodajże w końcu i komedię miłości...

— Ależ...

— Tst! Proszę słuchać mnie we wszystkim, a ja panią wyprowadzę na ciche i spokojne wody.

— A co ze Stadnickim będzie?

— Wróci do pani — na pewno wróci, bo już nawet mam pewne dane ku temu, że wyzwala się on spod tajemniczych wpływów. Najważniejszą rzeczą jest, że ustaliliśmy źródło siły i wyższości Borowicza nad nami i wynaleźliśmy antidotum, a to przechyliło szalę wygranej na naszą korzyść.

— Dobrze, panie ko... proszę pana, dobrze.

— No, to świetnie; słuchać mnie we wszystkim, grać komedię i wodzić tego pana za nos tak długo, dopóki nie dam pani znaku, że jest to już zbędne.

— A antidotum?

— Przyślę pani przez mojego pomocnika Kulkę.

— Dziękuję.

— To ja winienem pani podziękowanie za przemiły taniec — uśmiechnął się Krajewski, całując Lilę w maleńką łapkę po skończonym tańcu. Jednocześnie prawie jakby spod ziemi wyrósł Borowicz.

XVI.

ANTIDOTUM PRZECIWHIPNOTYCZNE

Środek przeciwhipnotyczny był wynalazkiem jednego ze sławniejszych polskich jasnowidzów i hipnotyzerów, inżyniera Soreckiego. Do rąk Krajewskiego dostał się ten środek zgoła przypadkowo i to drogą bardzo okrężną.

Stadnicki, mimo wyraźnego powrotu do zdrowia po długiej i tajemniczej chorobie, czuł się wciąż jeszcze jakoś dziwnie. Z wojska wziął dymisję, wyjechał był nawet na jakiś czas w góry, ale nie mógł się w żaden sposób pozbyć dziwnego przygnębienia, bezwładu myśli i czynów i jakiejś wprost zwierzęcej apatii, tego jakiegoś przymusu nad sobą, jaki nieustannie odczuwał. Lila zjawiała mu się tylko w nader rzadkich wypadkach jasnych przejawów myśli, wolnych od obcych wpływów,



Dr. Kung został mianowany premierem rządu chińskiego. Przed ustąpieniem premiera Czang-Kai-Czeka był on ministrem skarbu.

od tego przymusu dziwnego, który kierował z odległości jego krokami. Wtedy zrywał się, aby lecieć do niej, paść do nóg, błagać o przebaczenie za tak długie zapomnienie o niej.

Kiedy ordynans Żymełka powrócił z Łodzi z odpowiedzią Lili, porucznik leżał w kompletnym zapomnieniu i niewiedzy. Stan podgorączkowy był bardzo wysoki i niebezpieczny, to też Żymełka uważał za potrzebne zawiadomić o wypadku kapitana Olśnickiego, ten z kolei znowu wezwał lekarza i chorego umieszczono w sanatorium. Przeleżał tu dwa tygodnie, wciąż zgorączkowany i niepomny na nic i nikogo, a gdy przyszedł wreszcie do siebie, zapomniał dawno o liście, o Żymełce i o wszystkim, cokolwiek z Lilą miało związek. Zresztą, list ten znikł w jakichś tajemniczych okolicznościach. Żymełka, wobec zwolnienia się porucznika z wojska w tym czasie, wrócił do pułku, aby w dwa miesiące później znaleźć się „w cywilu".

Lekarze poradzili mu wyjechać do Zakopanego, Krynicy, Wisły lub gdziekolwiek w góry, co też Stadnicki wykonał prawie mechanicznie. Kazali mu jechać, więc zapakował manatki i pojechał.

I tutaj to, na jednej z wycieczek górskich spotkał się z inżynierem Soreckim, głośnym jasnowidzem i hipnotyzerem. Inżynier, zaledwie popatrzył na twarz Stadnickiego, od razu uderzyły go charakterystyczne cechy, tak mu znane z dawniejszych jeszcze czasów swoich badań nad naukami yogów indyjskich.

— Co panu jest, poruczniku? Pan dziwnie wygląda — rzekł inżynier.

— Nie wiem, inżynierze, od paru miesięcy diabeł mnie opętał, czy inne licho, sam nie wiem, jak to wszystko określić — odrzekł Stadnicki.

— To dziwne, bardzo dziwne — rzekł do siebie Sorecki, nie spuszczając oka z twarzy porucznika.

— Co dziwne, inżynierze?

— Ten stan, w jakim pan się znajduje. Czy pan wie, że to jest choroba sztucznie wywołana na odległość?

— Nie wiem, ale przyznam się panu szczerze, że jestem gotów uwierzyć w diabłów, czarownice, wampiry, upiory i w cokolwiek pan chce.



— W jedno musi pan wierzyć, a będzie dobrze, a to: że jest pan zdrów, chce pan być zdrów i mieć pewność, że tak jest i tak będzie.

— Ba! Gdyby to mogło tylko wystarczyć.

— Zajdź pan kiedy do mnie, może co zaradzimy na pańską „chorobę".

Porucznik uśmiechnął się boleśnie.

— Najsłynniejsi lekarze opuścili już ręce na widok mojej choroby.

— Ja jej się jednak nie przerażę, tego może pan być pewnym.

— Gdyby ją można chwycić za łeb, tę moją chorobę, i wygrzmocić pięścią po karku, to może i pomogłoby.

— Pomożemy, pomożemy, poruczniku, proszę tylko wierzyć, że cokolwiek pan będzie czynił — powinno, musi mieć skutek. Przecież pan żyje jakby gdzieś w przestrzeni, poza własnym życiem, w oderwaniu od niego, czy nie tak?

Stadnicki potwierdził trafność określenia.

— Czuje pan przymus, jakąś przemoc niewidzialną i nieuchwytną, która panu nakazuje czynić pewne rzeczy wbrew własnej woli, wbrew własnej świadomości.

— Istotnie, coś podobnego odczuwam.

— Wie pan co — ożywił się Sorecki — ja dziś wieczorem zajdę do pana, dobrze?

— Bardzo proszę, inżynierze, będzie mi ogromnie miło widzieć pana u siebie, i to tym bardziej, że spodziewam się od pana pomocy, leku na moją dziwną chorobę, w którą zapadam zawsze wtedy, kiedy najmniej sobie tego życzę i popełniam takie kryminały, że się tak wyrażę, których muszę się podczas przebłysków własnej mojej świadomości — wstydzić.

— Otóż to, otóż to... Zdaje mi się, że ja pana będę mógł uwolnić, wyjarzmić z tej niewoli ducha i myśli.

— Zasłuży pan sobie tym na moją dozgonną wdzięczność.

— Ach, nie mówmy o tym — zapalał się coraz bardziej inżynier. — Pan mnie interesuje jako obiekt i dlatego panu pomogę, bo chcę dokonać pewnych doświadczeń, no i naturalnie uzdrówić pana.

I jeszcze tego dnia wieczorem inżynier przybył do mieszkania porucznika. Zastał go w stanie naprawdę pożałowania godnym. Leżał na kanapce blady i wyczerpany tak, że z trudem dech łapał w usta.

— Znowu? — spytał krótko Sorecki.

— Znowu — odrzekł Stadnicki słabym głosem. — Diabli wiedzą, co ze mną się dzieje — nic nie rozumiem, nic nie pojmuję.

Sorecki ujął go za przeguby rąk, ścisnął mocno i wpatrzył się swoimi czarnymi, błyszczącymi tajemniczym blaskiem oczyma w źrenice Stadnickiego. Czas jakiś wpatrywał się w milczeniu, po czym zaczął mówić cicho, melodyjnie, ale rozkazująco i twardo:

— Śpi pan — tak, teraz pan śpi — szeptał jakimś tajemniczym i dziwnym tonem. — I nie obudzi się pan, aż za godzinę. Potem zapomni pan wszystko, cokolwiek działo się z nim przez ostatnie miesiące. Wszystko to nie istniało — nie mogło istnieć. Nikt już nad panem nie będzie miał przemocy, władzy, siły. Pan sam sobą będziesz rozporządzał, sam będziesz siłą i tylko mnie jednemu ulegał będziesz. Rozumiesz? Poddajesz się?

— Och! — jęknął Stadnicki. — Boli, okrutnie boli.

— Tak, boli pana, boli — powtórzył za nim Sorecki. — Bo teraz moja siła walczy w panu z siłą tego drugiego, pańskiego wroga, ale ja go pokonam. I wydaje się



Moment z zawodów o puchar Szrenglera w Davos.



Grecki następca tronu książę Paweł zawrze w dniu 20 b. m. w Atenach małżeństwo z księżniczką Fryderyką Luizą, córką księcia Brunświku.

panu, że nagle czyjeś nogi obute w ciężkie buty, tratują pański mózg, czy tak?

— Tak.

— Ale to minie, rozumiesz, minie zupełnie i bez śladu, nim godzina upłynie.

— Rozumiem.

— Poddajesz się mojej woli?

— Pod... da... ję...

— Śpij więc — zakończył inżynier i opuścił ręce Stadnickiego. Opadły one bezwładnie i porucznik spał.

Tymczasem Sorecki, który dotąd stał pochylony nad Stadnickim, usiadł ciężko na najbliższym z krzeseł. Czuł się ogromnie wyczerpany. Chory Stadnicki chwilami jęczał i mówił coś przez sen, jak gdyby bronił się przed jakimś niewidzialnym wrogiem, jakby kogoś prosił o przebaczenie, w końcu zasnął spokojnie i równo, o czym świadczył jego spokojny, regularny oddech. Sorecki siedział wciąż nieruchomo na jednym miejscu i wpatrywał się mocno swoim ciekawym wzrokiem w postać Stadnickiego, jakby spojrzeniem tym pragnął odpędzić wszystkie wraże siły, które mogły atakować jego pacjenta.

Punktualnie po upływie godziny, wyznaczonej przez Soreckiego, Stadnicki się obudził i usiadł raptownie, a zobaczywszy w półmroku jakąś postać ludzką, zapytał niespokojnie:

— Kto to? Czy to ty, Żymełka?

— Nie, poruczniku, to ja, Sorecki. Pański Żymełka, którego znałeś pan dawniej, jeszcze przed swoją chorobą, nie jest tu obecny.

Stadnicki potarł nerwowo dłonią czoło, jakby usiłował zrozumieć to wszystko, co dotąd wydało mu się taką niejasnością, w końcu zapytał:

— Co to wszystko znaczy, proszę pana?

— Cóż to, nie poznajesz mnie pan? — zdziwił się odrobinę inżynier.

— Ach, to istotnie pan, inżynierze? Wybacz pan, ale czuję się tak, jakbym powrócił z jakiejś dalekiej i przykrej podróży.

— Bo też tak było — podróżował pan myślami tam, gdzie panu kazano i nie mógł się pan zająć tymi sprawami i tymi osobami, które najbardziej pana interesowały.

— Istotnie, istotnie... Teraz zaczyna mi powracać świadomość, teraz zaczynam rozumieć wiele niejasności. Ale — cóż to ze mną działo? Toż teraz, jak widzę, na dworze lato.

— A lato, a co się z panem działo? Zrozumie pan to powoli. Nie chcę zaraz teraz wszystkiego panu tłumaczyć. Sam pan dojdzie do zrozumienia wszystkiego.

Stadnicki usiadł znowu i ścisnął głowę dłońmi. Po chwili spojrzał na inżyniera i spytał:

— Czy pan nie wie, co dzieje się z panną Alicją Krupińską? To była moja narzeczona, z którą, Bóg to raczy wiedzieć dlaczego i po co, zerwałem był pod wpływem, jak to dzisiaj widzę, zupełnie obcej woli.

— Otóż to, otóż tu właśnie dochodzimy do sedna sprawy, którą mogę panu wyjaśnić w paru słowach: ktoś, na razie nieznany mi, a komu zależało na zerwaniu pana z narzeczoną, nieustannie hipnotyzował pana na odległość i nakazał panu spełnić takie czyny, którychbyś pan nie spełnił nigdy w normalnym stanie.

— Co pan mówi? Czy to jest możliwe?

— To jest pewnik.

— I nie ma obrony przeciwko tej zbrodniczości?

— Jest, owszem, ale tylko jeden ratunek: musi się znaleźć ktoś silniejszy, kto by potrafił oddziałać na pana w sensie przeciwnym, ktoby zwalczył zły wpływ przeciwnika.

— Inżynierze, więc pan... pan zastosowałeś do mnie to antidotum?

— Tak, taki właśnie eksperyment przeprowadziłem na panu i, jak pan widzi, udał mi się w całej pełni. Ale nie poprzestaniemy jednak na tym, ja panu dam proszki, specjalnie przeze mnie spreparowane, mój wyłączny wytwór. Proszki te będzie pan zażywał każdego dnia trzykrotnie o oznaczonych godzinach, a więc: ósmą rano, drugą w południe i ósmą wieczór. One zapobiegną wszelkim wpływom pańskiego przeciwnika na pański umysł i pańską wolę.

— Stokrotnie panu dziękuję. Czuję się teraz, jak gdybym się dopiero narodził. Czuję się całkowicie zdrów, znakomicie.

— Cieszy mnie to ogromnie. Ale to jeszcze nie koniec, walkę musimy przeprowadzić do końca, będę jednak pana prosił o wskazanie mi człowieka, który dopuścił się na nim takiej zbrodni, pogrążając go na tyle miesięcy w niewiedzę i nakazując mu, jak się domyślam, spełniać rozmaite czynności wbrew swojej woli i chęci. Dopiero wtedy, gdy spotkam się bezpośrednio z tym człowiekiem, gdy zmierzę moją wolę z jego wolą, będziemy mogli określić środki jego zwalczenia.

— Z największą chęcią służę panu wszelkimi wyjaśnieniami, ale zanim to się stanie, pozwoli pan, że nadam depeszę do mojej narzeczonej, aby ją uspokoić i wiele spraw teraz dopiero, gdy wyrwałem się spod przemocy mojego wroga, jak to pan nazwał — należycie oświetlić.

— Bien — chodźmy na pocztę. Na razie wciąż chcę być z panem, aby go ochraniać przed możliwymi atakami. Czy pan godzi się na to?

— Ależ ja o to pana bardzo proszę.

— No, to chodźmy teraz na pocztę, a potem udamy się do Łodzi. Trzeba kuć żelazo póki gorące, trzeba sprawę prowadzić dalej szybko, bo nie wiemy, czego człowiek ten mógł nabroić do tego czasu.

— Słusznie, słusznie, inżynierze.

Załatwiwszy telegram, obaj panowie wrócili do siebie i podczas, gdy służący Stadnickiego pakował manatki do drogi, Jerzy opowiadał Soreckiemu wszystko to, czego w ciągu ostatnich miesięcy sam był ofiarą i co pamiętał. A gdy skończył, inżynier zawołał:

— Mam, już mam!

— Co mianowicie, inżynierze?

— Wiem, kto jest pańskim prześladowcą. Nie może nim być nikt inny, tylko ten anglo-hindo-Polak Borowicz. Z pańskiego opowiadania wynika to jasno jak na dłoni.

— A wie pan, że i ja od razu miałem w podejrzeniu tego pana. Próbowałem walki, oporu, ale nigdy mi się to nie udawało.

— Ale teraz nam się uda — musi się udać.

Pożegnawszy Stadnickiego, poszedł Sorecki do siebie po obiecane proszki. Ale zaledwie stanął na progu mieszkania, spostrzegł zaraz niezwykły nieład, spowodowany, jak się od razu domyślił, przez włamywacza. Walizy były pootwierane, bielizna porozrzucana, ubrania na podłodze. Tknięty jakimś złym przeczuciem, Sorecki podbiegł natychmiast do skrytki, w której miał ukryte swoje proszki, ale i skrytka była rozbita — proszki znikły.

— Tum cię szukał — rzekł półgłosem Sorecki i bez dalszych jakichś deliberacyj i zwłoki zaczął pośpiesznie pakować i układać rzeczy w walizach.

A w tym samym prawie czasie Oleś Barlamp znowu miał rozmówkę z Borowiczem, od którego dowiedział się, że antidotum inżyniera Soreckiego zostało unieszkodliwione i nigdy już inżynier go nie odzyska i spreparuje.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

WOJCIECH HOLM

65)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Nienawidzę barona Sturmfedera, jako przyczyny wszystkich moich cierpień — odparł Werner. — Ty i Ilona zaś byliście tylko ślepym narzędziem w rękach tego nędznika. Przyznaję się zupełnie otwarcie do tego, że Sturmfeder nie uszedłby mej zemście, bo on was przekupił, abyście byli jego wspólwinnymi. Tobie Alojzy i Ilonie jednak zapewniam zupełną wolność i bezkarność.

— Teraz pan obiecuje! — zawołał kasztelan. — Lecz gdyby pan odzyskał wolność, zmieniłby pan zdanie. Znam się dobrze na tym.

— Szlacheckie słowo ci daję, że nic ci się nie stanie — rzekł Werner. — Czy sądzisz, że...

— Nie mogę tego sam zrobić, panie hrabio — odparł kasztelan — nim nie pomówię jeszcze z innymi osobami. A teraz niech pan pije i nie skraca sobie lekkomyślnie życia. A pan dopiero śmiercią swoją zrobiłby przysługę bar. Sturmfederowi, temu łajdakowi, który nic innego nie umie tylko za fartuszkami uganiać! Zdaje mi się, że mój towarzysz (tak Alojzy nazywał barona) chce mnie podejść. Żądał ode mnie, abym pana zabił, a ja mu powiedziałem, że wykonałem jego zlecenie i że pan już nie żyje. Nie śni mi się jednak pozbawić pana życia, już choćby dlatego, że w tym wypadku miałby mnie baron w swoich rękach, jak wróbla, który wypadł z gniazda, nim jeszcze umiał latać. Jeśli on mi nie dotrzyma obietnicy, to ja pana wypuszczę, aby się na tym łotrze zemścić.

— Dopiero jak się tacy dwaj szubrawcy pokłócą, to porządni ludzie mogą przyjść do swoich praw! — wycedził hrabia między zębami!

Słaby promyk nadziei wstąpił w serce hrabiego przez słowa kasztelana.

— Niech pan pije, panie hrabio! — powtórzył Alojzy!

— Nie piję ze spętanymi rękami! — zawołał hrabia Werner. — Jak mi rozwiążesz ręce, to się napiję!

— Nie, panie hrabio, nie mogę tak głupio postąpić — odpowiedział kasztelan. — Muszę przecież myśleć o własnym bezpieczeństwie. Jak panu rozwiążę ręce, to pan sobie wolnymi rękoma rozpęta nogi i będzie się znów starał uciec. Popatrz pan, jak ja się urządzam; trzymam flaszkę przy samych ustach. Jak rodzonemu bratu. Co do jedzenia i picia chcę się z panem po bratersku dzielić.

— Tak po bratersku, jak Kain z Ablem — zadrwił hrabia gorzko — i tak po bratersku, jak z biednym Ignacem, gdyś mu podpiłował ścieżkę nad przepaścią, którą on miał przejść biegnąc do obozu!

— Czy ten Cygan to panu opowiadał? — zawołał kasztelan gniewnie. — Pożałuje on tego i popamięta dzień, w którym języka nie trzymał za zębami!

Złapał groźnie za nóż myśliwski, który miał za pasem i mówił dalej:

— Ja z nim jednak mam jeszcze porachunki, bo jestem pewny, że nikt inny jak tylko on, pomógł panu do ucieczki. Pożałuje on za to wszystko.

— Grozisz nieboszczykowi — rzekł Werner smutnie.

— Co, Ignacy umarł? — zawołał Alojzy — którego gniew na Ignacego znikł w tej chwili. — Jak to się stało? I kiedy?

— Został zabity przez jakiegoś nożownika — odpowiedział Werner. — Zabójca jego wszedł z jakąś kobietą do jaskini, w której ja się schowałem i nie przeczuwając mej obecności, mówił z nią całkiem otwarcie o tym morderstwie. Alojzy, donieś policji o tym wypadku!

— Nie, tego nie uczynię! — zawołał kasztelan żywo. — Nie lubię mieć do czynienia z policją. Nie podałem nawet tych opryszków co mnie zbili i pokaleczyli, aby nie mieć tych niezliczonych wezwań do sądu. A co do Ignacego, to nie wiem kto to zrobił i nie wiem, co oni tam między sobą mówili!

— Opowiem ci wszystko dokładnie — odpowiedział Werner i powtórzył kasztelanowi dosłownie całą rozmowę między nożownikiem, a jego kochanką, którą wtedy podsłuchał. Przemilczał tylko to, że morderca zakopał tam pieniądze skradzione Ignacemu. Obawiał się bowiem, że kasztelan pieniądze te zagarnie, a później zamilczy tę całą sprawę z obawy, żeby się jego kradzież nie wykryła!

— Fe, — splunął Alojzy — to Tryna tak na psy zeszła? Znałem ją, gdy jeszcze była młodą i świeżą dziewczyną i kiedy się na biednych ludzi nawet patrzeć nie chciała. Wtem matka jej umarła, a ojciec ożenił się z młodą dziewką. Macocha i pasierbica żyły jak pies z kotem, a stary stawał zawsze po stronie żony. Nie było tam dnia bez kłótni. Dziewczyna byłaby chętnie za mąż wyszła, aby się wydostać z tego piekła, ale jak się chłopcy dowiedzieli, że stary zapisał wszystko swojej drugiej żonie, a Trynie tylko da mały posag, żaden nie chciał się z nią ożenić. Nie mogła dostać narzeczonego, ale za to dostała dużo kochanków. Macocha śledziła ją, jak kot śledzi mysz i donosiła staremu jakie życie Tryna prowadzi i jak źle o niej w całej okolicy mówią. Doprowadziła do tego, że rozgniewany ojciec wypędził Trynę z domu. Wtedy Tryna poszła do miasta i została kelnerką w jakimś szynku, i od tej pory coraz bardziej podupadała. Dawniej pluła ona zawsze na mnie i nie nazywała mnie nigdy inaczej jak: opryszek i galgańskie ziele. A teraz może się łatwo stać, że ona sama będzie na szubienicy wisiała. Życzę jej tego z całego serca!

— Możesz jej się do tego przysłużyć — rzekł hrabia Werner sucho.

Kasztelan poskrobał się za uchem.

— Ba — mruknął on — gdybym się nie bał zaczynać z policją! Ale nie chcę wywoływać wilka z lasu. Zdaje mi się zresztą, że ten nożownik i tak będzie wisiał na szubienicy. To okropne ziółko!

— Pomścij Ignacego! — prosił go znów hrabia Werner.

— Czy pan hrabia myśli, że Ignacy miał dużo pieniędzy przy sobie, i że oni go dlatego zabili, aby go obrabować? — zapytał kasztelan z zainteresowaniem.

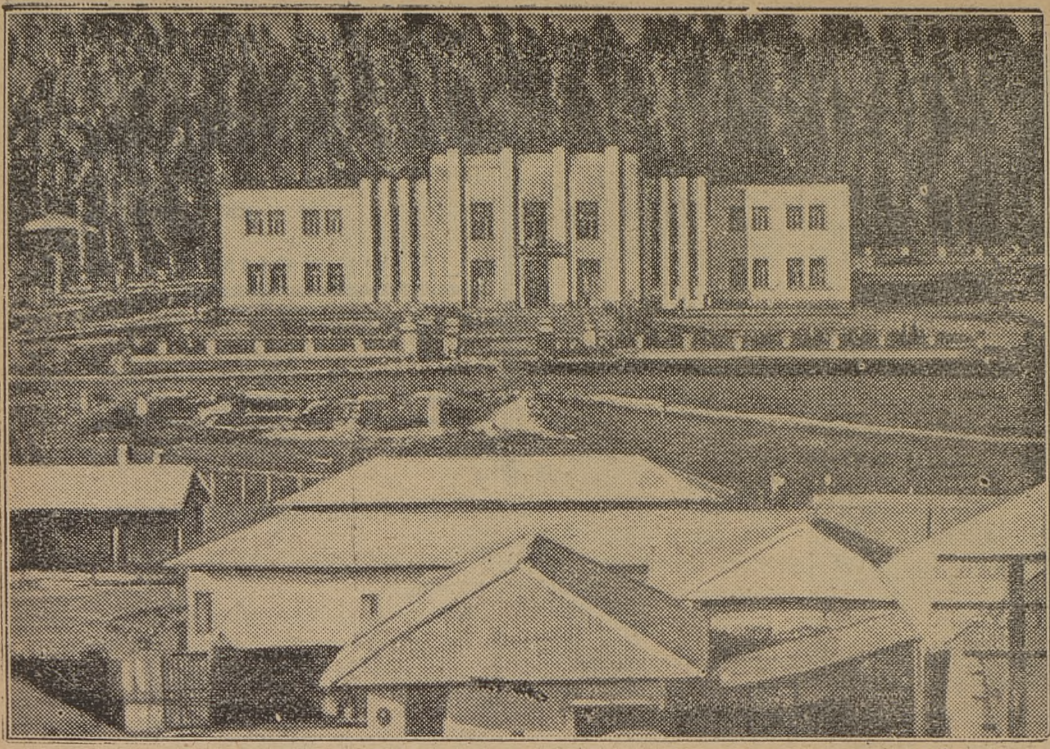
— Naturalnie! — odpowiedział hrabia pewnym tonem.

Kasztelan zamyślił się na chwilę, a potem rzekł:

— Panie hrabio! Kiedy ja dziś podczas walki naszej udawałem, że się duszę, to mnie pan zaraz puścił. Tego by nikt inny



W tym wieku sporty zimowe najlepiej uprawia się w towarzystwie mamusi.



Addis Abeba przybiera z dniem każdym coraz bardziej europejski wygląd. Na zdjęciu nowoczesny budynek włoskiego dowództwa naczelnego.

nie zrobił. Przeciwnie, każdy inny na miejscu pana byłby mnie jeszcze mocniej ścisnął i na śmierć udusił. Ja nie jestem z kamienia, i jak tylko coś dla pana będę mógł zrobić, czym sobie nie zaszkodzę, to z pewnością to uczynię. Niech mi ręka uschnie, gdybym ją kiedy na pana miał podnieść.

Mówił to solennym tonem i hrabia był przekonany, że mówi szczerze. Zaczął go więc znów prosić i błagać, aby go wypuścił na wolność, ale prośby jego odbiły się o opór i nieufność kasztelana.

— Bliższa koszula ciału niż surdut — brzmiała jego odpowiedź — nie mogę pana uwolnić kosztem swojej wolności!

— Jeśli mi nie chcesz pomóc, to może zechcesz dostać wielką nagrodę — rzekł Werner wreszcie.

— Jaką i za co? — spytał kasztelan.

— Przede wszystkim muszę ci powierzyć wielką tajemnicę — zaczął hrabia. — Panna Sylwia Herbert, nie jest córką leśniczych Herbertów.

— Wiem o tym już od dawna — mruknął Alojzy — wyczytałem to z listu, który znalazłem w kasecie.

— Ale nie masz pojęcia o tym, że panna Herbert jest bardzo wysokiego pochodzenia — zaczął znów hrabia — jest ona córką mego zmarłego krewnego, hrabiego Ernesta Wildensteina i w razie mojej śmierci, dobra hrabiów Wildensteinów przypadają nie baronowi Sturmfederowi, ale hrabiance Wildenstein, znanej dotąd pod nazwiskiem Herbert.

— Do licha! A to dlaczego baron nie kazał sprzątnąć Sylwii! — zawołał Alojzy żywo. — Skąd się baron jednak dowiedział o tej tajemnicy?

— Tego nie wiem — odpowiedział hrabia.

— Prawda, że on wiecznie szpieguje i podsłuchuje, musiał więc i tę tajemnicę gdzieś wyśledzić — mruknął kasztelan. — Skąd pan to jednak wie, panie hrabio?

— Powiem ci i to, jak mnie uwolnisz — rzekł hrabia.

— O, to jeszcze bardzo niepewne — wycedził kasztelan przez zęby, a głośno dodał:

— Jak pan może dowieść, że panna Herbert jest rzeczywiście córką hrabiego Ernesta Wildensteina?

— Są papiery potwierdzające ten fakt — odpowiedział Werner.

— A gdzie się te papiery znajdują? — spytał kasztelan.

— To już jest moja tajemnica! — rzekł hrabia stanowczo. — Są one przechowane w tak pewnym miejscu, że ich nawet baron Sturmfeder, ani nikt inny nie wynajdzie.

— Pan hrabia mi nie ufa! — rzekł Alojzy z wyrzutem.

— A ty, czy mi ufasz! — zawołał hrabia. — Ale nie mówmy więcej o tym. Powiedz mi tylko, czy chcesz Sylwię poinformować o tajemnicy jej pochodzenia?

— Nie wiem jeszcze — odpowiedział Alojzy. — Panna Sylwia więcej ma rozumu niż tuzin mężczyzn, i gdy się dowie, że jej się dobra hrabiów Wildensteinów prawnie należą, to znajdzie prędko drogę do odebrania baronowi nieprawego dziedzictwa, a w tym wypadku nie będę mógł odebrać sumy, którą mi baron jest winien!

— Panna Sylwia podwójnie, a nawet potrójnie ci tę szkodę wynagrodzi — obiecywał mu Werner — jest ona hojna i wspaniałomyślna i miałbyś tę sumę pewniejszą niż u barona.

— Ale widzi pan hrabia, że to jest niemożliwe — odparł Alojzy — bo gdybym poszedł do panny Sylwii i wyjawił tajemnicę, to onaby zaraz spytała skąd ja to wiem i jakie na to mam dowody. Cóż jabym jej na to mógł odpowiedzieć? Nic! A ona nazwałaby mnie kłamcą i gadułą i musiałbym odejść ze wstydem.

— Powiem ci dokładnie, co jej masz powiedzieć — rzekł hrabia.

— Nie, nie mogę! — odrzekł znów Alojzy — miałem dość kłopotu z nią, jak długo była biedna, bo wtedy już ostatni grosz ofiarowała, aby odkryć miejsce pobytu pana, i omal, że jej się to nie udało. Cóżby to dopiero było, gdyby ona zobaczyła nagle, że posiada tak duży majątek? Wtedy to już ani chwili nie byłbym przed nią pewny. Nie zostawiłaby ona kamienia na kamieniu i jestem pewny, żeby pana znalazła.

— Mógłbyś przecież tymczasem uciec z pieniędzmi, którebyś od niej w nagrodę dostał! — odpowiedział mu hrabia Wildenstein.

— Pomyślę jeszcze o tym, panie hrabio — rzekł wymijająco Alojzy. — A teraz pójdę zobaczyć, w jaki sposób pan się z więzienia wydostał, bom tego rano nie zauważył!

To rzekłszy odszedł ciężkim krokiem, a hrabia został sam, ale nie był w tak złym humorze i tak beznadziejny, jakby można było przypuszczać po nieudałej ucieczce i wiadomości o śmierci Ignacego.

Alojzy bowiem był teraz o wiele przystępniejszy niż dawniej i pozwalał z sobą mówić. Prócz tego, inna jeszcze okoliczność dodawała mu odwagi. Było to zeznanie Alojzego, że sam nie jest w stanie zaciągnąć go do więzienia i musi czekać na niepewny powrót Ilony. Jak długo hrabia był na górze, miał większe szanse ucieczki.

Modlił się gorąco o to, by Ilona nie przyszła prędko i aby mu się tymczasem nasunęła sposobność do powtórnej ucieczki.

Wtem wrócił kasztelan i rzekł:

— Muszę przyznać, że pan to zmyślnie zrobił, panie hrabio! Ale co to musiała być za praca! Ręczę, że baron by tego nie potrafił! Czy to Ignacy panu przywiązał sznur u góry? Dlaczego ten osioł nie zsunął drabiny?

— Nie miał sił na to — odparł hrabia wymijająco.

— Prawda, że on nie był zdrowy od czasu jak wpadł w przepaść — potwierdził kasztelan — nie byłby on i tak już długo żył!

— Biedak! — rzekł hrabia z współczuciem. — Jaką okropną miał śmierć!

— To trudno, już mu nie możemy pomóc — rzekł Alojzy — teraz jednak musimy o sobie pomyśleć. Czy zrobić panu kawy czy grogu panie hrabio?

— Wolę kawę — rzekł Werner, a kasztelan oddalił się, aby żądany napój sporządzić.

Po krótkim czasie wrócił z filiżanką gorącej kawy i kawałkiem bułki w ręku.

— Nie mam masła, ani mleka — rzekł uniewinniając się — bo Ilona wyrżnęła wszystkie kozy. Kobiety takie są nieoględne. Zarzynają kury, a nie myślą o tym, że później jaj nie będzie! Niech pan pije, panie hrabio!

— Zwolnij mi pierwej ręce — zawołał hrabia — bo inaczej nie wezmę kęsa do ust!

— Niech mi pan hrabia przysięgnie, że się po zjedzeniu znów da związać i zwolnię mu ręce — odparł kasztelan.

— Przysięgam — rzekł hrabia poważnie.
— Nie będzie pan próbował uciekać? — pytał znów kasztelan.
— Dziś nie, — zapewniał więzień, kładąc nacisk na słowo „dziś".
— Po tym przyrzeczeniu rozpętał Alojzy ręce hrabiego.
Były one zimne i sztywne i kasztelan musiał je dopiero przez długie tarcie rozgrzewać.
— Napalę panu, aby się pan dobrze mógł ogrzać, panie hrabio! — rzekł Alojzy. — Ręczę panu, że panu źle tu nie będzie!
— Czyż myślisz, że nie mam innych życzeń, jak zaspokoić głód i pragnienie? — rzekł hrabia z goryczą — Są cierpienia tysiąc razy gorsze niż głód, pragnienie i zimno. Te właśnie cierpienia przepełniają me serce. Tylko ty mi możesz pomóc! Daj mi wolność, a uratujesz mnie z prawdziwego czyśca troski i niepokoju.
— Panie hrabio, ani słowa więcej o tym! — przerwał mu Alojzy marszcząc ponuro brwi. — Kawa już wystygła i muszę pójść do kuchni, aby panu przynieść cieplejszej. Niech pan je i pije, a później zaśnie; zdaje mi się, że sen panu jeszcze potrzebniejszy?
To mówiąc, oddalił się.
Werner westchnął głęboko. Przyszedł on do przekonania, że na razie nie pomogą mu żadne prośby i perswazje. Zamki na łodzie, które hrabia już budował, rozpadły się znów w gruzy. Ale nie tracił jeszcze zupełnie nadziei.
Gdyby nawet wszystko zawiodło, zostałby mu jeszcze drogi skarb: Miłość Sylwii! Gdyby go nawet wszyscy, ludzie opuścili, ona mu dochowa wierności! Bóg pewnie wynagrodzi tyle miłości wierności i złączy ich ostatecznie. Co to będzie za życie pełne słońca u boku Sylwii!

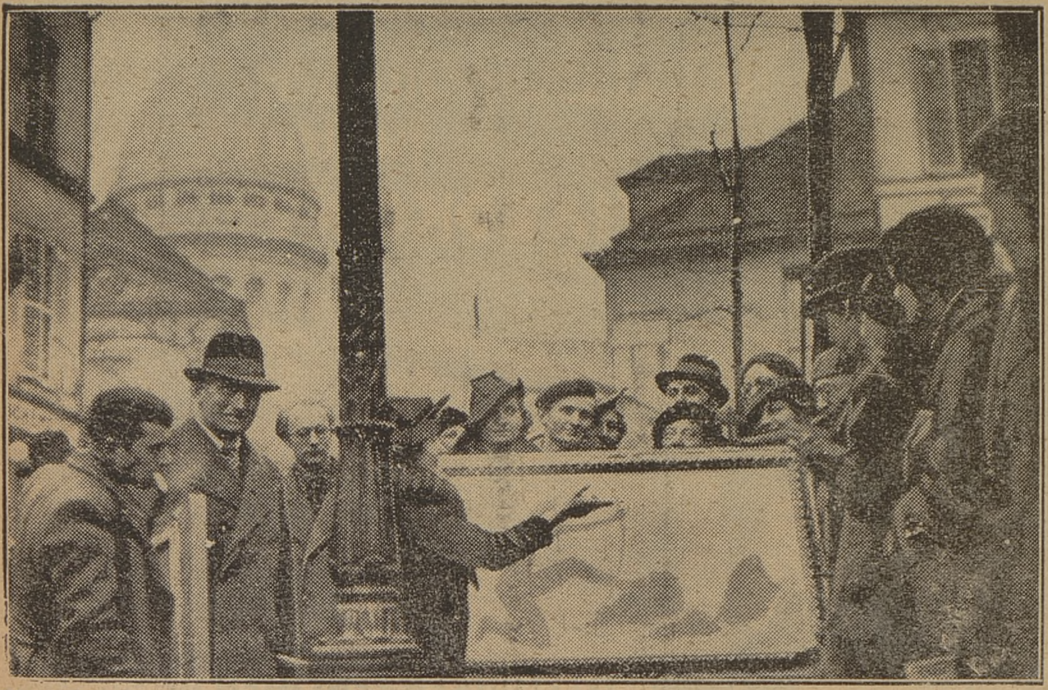
ROZDZIAŁ CCXLIII.

Fandango.

Z lekkim sercem i duszą zwolnioną z wielkiego ciężaru wjeżdżał hrabia Eryk Rauch w góry, okryte świeżą zielenią wiosenną. Były tu liany i inne rośliny pnące, których duże kielichy kwiatowe zwieszały się jak winogrona. Drzewa figowe, migdałowe i cytrynowe pełne były owoców, u stóp tych drzew kwitły wspaniałe żółte kaktusy i niebieskie lobelie, które zdobią cieplarnie europejskie. Nad wszystkim tym roztaczało się ażurowe sklepienie południowego nieba, oświeconego słońcem, które zsyłało na ziemię gorące swe promienie.


Zarząd miasta Salonik postanowił kupić prezydentowi Turcji Atatürkowi dom, w którym on się urodził.

Z rozkoszą przypatrywał się Eryk Rauch temu pięknemu krajobrazowi. Uwolniony z ciążących węzłów, łączących go przez czas jakiś z Anunciatą, czuł się jak wypuszczony na wolność. Nucił sobie wesoło piosenkę, a otaczająca go samotność działała na niego dobroczynnie i kojąco.
Gdy wieczór zapadł, a hrabia jeszcze nie dotarł do żadnej ludzkiej osady, przywiązał rumaka swego do drzewa i nazbierawszy trochę chrustu, rozniecił z wielkim trudem ognisko, i postanowił przy nim przenocować.
Skromna jego wieczerza składała się tylko z owoców, które sobie po drodze zerwał. Na deser zapalił sobie kilka wybornych cygar, które jeszcze miał od Sennora La Paz.
Przespawszy się spokojnie, wybrał się nazajutrz w dalszą drogę, która stawała się coraz luźniejszą. Spotkał między innymi, też kilku Indian, którzy mu trwożliwie zeszli z drogi i Murzyna, który na wołanie jego, nawet nie odpowiedział.
Wreszcie zjawił się jeździec konny w malowniczym ubiorze meksykańskich handlarzy koni: zielone aksamitne spodnie i surdut ze srebrnymi guzikami. Za pasem jego tkwiły pistolety, noże i sztylety; przez plecy przewieszoną miał strzelbę. Ciemna, młoda i piękna twarz jego ocieniona była kapeluszem o szerokich kresach, zwanym tu „sombrero".
— Hallo, dobry przyjacielu — zawołał Rauch po meksykańsku — czy dostanę się tą drogą prędko do jakiegoś miasta?
Zapytany zatrzymał konia i spojrzał na hrabiego z dobrotliwie ironicznym uśmiechem.
— Dziwny z was człowiek! — zawołał żywo — czy nie wiecie nawet do jakiego miasta zdążacie?



Licytacja obrazów odbyła się, jak co roku w okresie świąt, na Montmartrze paryskim.

— To mi jest zupełnie obojętne — odparł Eryk — chciałbym jak najprędzej dotrzeć do jakiegokolwiek bądź miasta.

— No, w takim razie jedźcie ze mną do Chilhnahna! — zawołał Meksykanin — i dawszy koniowi ostrogi popędził lotem strzały.

Eryk nie namyślał się długo i popędził takim galopem, że Meksykanina wkrótce przegonił i wzbudził tym jego podziw.

— Umiecie jeździć! — zawołał zdziwiony — nie byłbym się tego po was spodziewał, gdym was przedtem widział jadącego jakby we śnie. Jedźmy razem! — zaproponował mu.

Po drodze opowiedział Meksykanin Erykowi, że się nazywa Hermoso i że jedzie do Chihnahna na wielki jarmark, który się tam jutro ma odbyć. Po kilkagodzinnej szybkiej jeździe dotarli wreszcie do miasta, rojącego się mnóstwem ludzi i zwierząt pędzonych na targ.

Balkony domów udekorowane pstrymi dywanami, zapełnione były pięknymi niewiastami z Chihnahna, które paliły papierosy i lustrowały przybyszów.

Niejedno ogniste spojrzenie z dużych, czarnych oczu padło na Eryka i pięknego jego towarzysza, który również te spojrzenia odwzajemniał.

Nie było łatwą rzeczą przepchać się przez ulice, pozastawiane dużymi wozami pełnymi melonów i beczek z oliwą i winem. Pędzono trzody mustangów, t. zn. koni meksykańskich, które Hermoso oglądał okiem znawcy. Na innych wozach była znów broń różnego rodzaju, siodła i uprzęże.

Wreszcie przepchali się nasi dwaj podróżni do małej gospody, zaprowadzili sami konie swe do stajni i weszli do izby przepełnionej ludźmi. Krzyk i gorąco było nie do zniesienia.

Hermoso wynalazł jednak jeszcze dla siebie i dla towarzysza swego miejsce i zamówił frijole z czosnkiem i flaszkę amontillady.

Niemożliwie brudny służący, Murzyn, w ubraniu, które kiedyś było białe, podał im żądane specjały meksykańskie, a hrabia Eryk spożył z zazdrości godnym apetytem te potrawy, na które by się kiedyindziej nawet nie był patrzał i popił je ciężkim winem tutejszym.

Pokrzepiwszy się, położyli się na brudne materace w swoim pokoiku, aby wypocząć, a Hermoso poprzednio jeszcze namówił Eryka, aby później poszli na „Fandango" (hiszpańskie i meksykańskie tańce).

Po niejakim czasie obudziło Eryka silne targanie.

— Sennor — zawołał Hermoso głośno — wstawajcie prędko już najwyższy czas pójść na Fandango!

Hrabia Rauch zerwał się, ziewając i wziął się do mycia, aby oczyścić się z pyłu podróżnego.

Hermoso ze swej strony, uważał to za niepotrzebny luksus, ale za to zaczął się bardzo wspaniale przystrajać. Wrzasnął na

Murzyna, aby mu ładnie wyrzyścił buty ze srebrnymi ostrogami i rozpakowawszy swój tobołek wyjął zeń wspaniałą jedwabną szarfę haftowaną złotem, skórzane rękawiczki, których mankiety również złotym haftem były przystrojone i złoty, ciężki łańcuszek ze szkaplerzem.

Przystroiwszy się w te kosztowności oglądnął się Meksykanin zadowolony, a rzuciwszy na Eryka pogardliwie lekceważące spojrzenie, rzekł:

— Sennor, jeżeli chcesz tak iść na Fandango, to nie wiele szczęścia i powodzenia będziesz miał u dziewcząt z Chihnahna.

— Prawda! — odparł hrabia Rauch — że mógłbym toaletę swą odświeżyć. Możebyście mnie zaprowadzili do jakiego magazynu ubiorów męskich?

Propozycja ta podobała się Hermosowi. Zaprowadził on towarzysza swego wąską uliczką do żydowskiego sklepu z towarami.

Eryk kupił sobie czerwony atlasowy kubraczek wyszywany złotem, skórzane pantalony i jedwabną, złotem i srebrem tkaną, szarfę.

Cena, której Żyd żądał była ogromna, ale Hermoso tak długo się targował, dopóki nie odtargował dziewięć dziesiątych części żądanej sumy.

Eryk Rauch włożył zaraz paradny swój kostium i pistolety i sztylety za pas, idąc za przykładem swego towarzysza.

— Teraz, to mi się podobacie! — zawołał Hermoso zadowolony — zrobimy furorę u tutejszych niewiast. Ale spieszmy się, aby przyjemność jak najprędzej złapać „za rogi" (utarty meksykański frazes).

Minąwszy kilka ulic weszli oni do dużego budynku, z którego dochodziły ich tony muzyki. Hermoso wprowadził Eryka do obszernej sali oświetlonej różnobarwnymi, papierowymi lampionami, gdzie zgromadzony już był tłum ludzi we wspaniałych kostiumach.

Było już wesoło i gwarno i uczta zdawała się być w najlepszym toku, gdy Hermoso wszedł z Erykiem. Zmieszali się z tłumem i przypatrywali się Fandangowi, który się właśnie był rozpoczął.

W Meksyku ten pierwotnie hiszpański taniec narodowy w ten sposób się tańczy, że dama stojąca na środku wybiera jednego z otaczających ją kawalerów. Jeśli on zaproszenie przyjmie, to musi jej dać fant, który po ukończeniu tańca ma wykupić.

Fandango właśnie się było rozpoczęło, a w środku sali stała tak cudowna dziewczyna, że Eryk i Hermoso stanęli zafrasowani.

Była wysoka, wiotka i smukła jak łania. Rysy miała zupełnie regularne, a oliwkowa jej cera pięknie odbijała od koralowych ust i białych jej zębów. Kruczo czarne włosy pokrywała czworokątna szkarłatna chustka, ulubiony strój meksykańskich wiejskich dziewcząt. Przez plecy przewiązaną miała szarfę z żółtego jedwabiu, a spod granatowej, złotem wyszywanej spódnicy widać było zgrabną nogę w skórzanych wyciętych mesztach.

Palące, ciemne jej oczy oglądały się ciekawo wokoło. Nagle spostrzegła Eryka Raucha, który się z zachwytem w nią wpatrywał i rumieniąc się, przystąpiła do niego i wezwała go głębokim dygiem do tańca.

Hrabia stał przez chwilę nieruchomo, wreszcie opanowawszy się i odpowiedziawszy meksykańskiej dziewczynie salonowym ukłonem, odwiązał swą szarfę i przewiązał ją przez pas pięknej tancerki.

Wziąwszy ją za rękę, chciał właśnie zacząć taniec, gdy go Hermoso wstrzymał mówiąc:

— Co robicie? Czy się chcecie wystawić na pośmiewisko całego otoczenia? Przecież nie znacie tego tańca wcale!

— Spróbuję — odparł hrabia obojętnie.

Hermoso wzruszył ramionami, nie mówiąc już nic więcej, a i wszyscy wokoło patrzyli zaciekawieni i przygotowywali już szydercze uśmiechy, bo mimo narodowego kostiumu, poznali zaraz cudzoziemca, po jasnych włosach i cerze. Nawet tańczące już pary zatrzymały się, chcąc uśmiać się na koszt obcego przybysza.

Ale omylił się grubo, gdyż hrabia, który był słynnym tancerzem uczył się raz „fandanga" u pierwszego baletmistrza, aby się tańcem tym popisywać na uczcie weselnej jednego ze swych przyjaciół. Tańczył go też po mistrzowsku.

Ciąg dalszy na str. 53.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

WYZNANIE

O, jak bym chciał dziś sięgnąć gwiazd,
co wiszą na błękicie...
i opromienić Twoją twarz
blaskiem księżyca...

O, jak bym chciał przypłynąć dziś
srebrnym potokiem —
melodią fal rozdzwonić się
w ciszy głębokiej...

O, jak bym chciał zamglony żal —
rozzłocić blaskiem słońca
i w sercu Twym rozniecić żar
miłości gorejącej...

O, jak bym chciał — lecz nie wiem, czy
oddasz mi duszę swoją...
i czy — jak ja, pokochasz też
stęsknione serce moje!

Jan Feliks Płóciennik.

NIC W ŻYCIU NIE JEST BEZCELOWE

„Samotna Maruta". Więc jesteś znowu sama, Droga Dziewczynko? Odeszła od ciebie najlepsza, wierna przyjaciółka, siostrzyczka, którą tak bardzo kochałaś. Jak mi przykro, „Samotna Maruto"! Podaj mi swoją rączkę i słuchaj, co ci powiem: nie trzeba rozpaczać! Nic w życiu nie jest bezcelowe, nawet w doznanej stracie tkwi zawsze pewien sens. Pocierpisz pewien okres, a potem ból stuszuje czas i znajdziesz kogoś innego, kto ofiaruje Ci swą szczerą przyjaźń. „Rodzinka" nasza jest liczna — na pewno otrzymasz miłe listy, które nową radość wniosą w Twoje życie. W twoim imieniu przekazuję miłe pozdrowienie wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom „Moich Powieści".

Przekazane mi życzenia pomyślności szczerze odwzajemniam.

PRZEZ CAŁY ROK BĄDŹ MI TAKA!

„Jadzia"! Ach, Ty kochany, najukochańszy Dzieciaku! Tyle słodkich, serdecznych słówek nawypisywałaś mi w tym ostatnim liście, że doprawdy byłam zażenowana. Słoneczkiem nazywasz i modlisz się codziennie o zdrowie i długie życie dla mnie — och, Ty dobra Dziecino!

Słusznie piszesz, że smutki i zmartwienia w życiu ludzkim muszą być, aby zaistniała możność tym intensywniejszego odczucia i lepszej oceny niezmiernej wartości tu i ówdzie rozsypanych chwileczek szczęścia.

Tylko jedno mnie gnębi u Ciebie, mianowicie to, że jak w radości szukasz przyjaciela, tak w smutku zamykasz się w sobie, cierpiąc skrycie. Nie czyń tego, kochana — wiem, naprawdę wiem, że ból podzielony nie jest taki dotkliwy w skutkach, nie mroczy tak i nie zaciemnia duszy. Mnie możesz zawsze napisać, co Cię boli bez obawy, że się wygadam, narobię plotek lub że Cię nie zrozumiem. A przecież mogę Ci tym, czy innym słowem sprawić trochę ulgi — nie uważasz?

Do Żnina oczywiście przyjedź, gdy... „już poczujesz, że masz za dużo forsuni"!

Dobrze prosiłaś Bożą Dziecinę o dobre święta dla mnie, gdyż rzeczywiście miałam je tak radosne i słodkie, jak jeszcze nigdy i podarki były piękne i liczne — słowem, wszystko, co mi życzyłaś tak szczerze, spełniło się. Dziękuję Ci też za przegraną w wigilię płytę „Lulajże Jezuniu" oraz tę drugą „Nie trzeba słów".

Nie zdążyłam już w numerach świątecznych przesłać Ci życzeń, lecz chyba i te dziś wyrażone nie będą Ci obojętne — prawda, Maleńka Jadziu?

Bądź mi przez cały rok taka pogodna, serdeczna i dobra i zawsze pamiętaj o swoim Słoneczku i pisz do niego często!

Aha — prosisz „Krainiaków" o pamięć i pozdrawiasz ich serdecznie. Przyślij mi prosze swój dokładny adres, aby listy nie wracały, gdy wyślę.



„Stella Maris"!... Wszyscy w „Krainie" znamy ten pseudonim. Pod nim bowiem ukazywały się najserdeczniejsze odpowiedzi Wujka Janusza i moje, pod nim rozbrzmiewały liczne apele Sympatyków „Krainy" i pod nim wreszcie, ukazywały się na łamach „Moich Powieści" smutne, pełne szczerego sentymentu, wierszyki.

„Stella Maris"!... Nie będzie przesadą, gdy powiem, że pseudonim ten, to symbol cichego piękna i bezmiernej tęsknoty. Właścicielka jego posiadała bowiem duszę piękną, jednakże pełną smutku i tęsknoty. Muzyka, poezja i przyroda, to Jej żywioł i największe umiłowanie. W żywiole tym żyła i nim oddychała, nigdy jednak niezaspokojona i nienasycona w pragnieniu nowych przejawów piękna i prawdy. W listach nieraz przeważała mnie swoimi wprost mistycznymi zachwytami nad muzyką. „Gdy gram, czuję się szczęśliwą, wydaje mi się wtedy, żem bliżej nieba, a daleka od tego, co mrozi duszę i pokrywa szarym nalotem"... Pięknie to powiedziała i tak, że pomyślałam wówczas, czy to możliwe, aby taka istota mogła żyć i oddychać w twardym, prozaicznym i częstokroć zimnym świecie? Dlaczego życie nie ukształtowało inaczej Jej duszy, dlaczego nie nauczyło Jej żyć realnie i brać je takim, jakim ono jest, a nie doszukiwać się w nim jakichś przesubtelnych melodyj, piękna i najistotniejszej prawdy? Odpowiedzi wtedy na to nie znalazłam, dopiero teraz, gdy wzięłam do ręki list z czarną obwódką, list Rodziców „Stelli Maris"...

„Ukochana nasza córka zakończyła w dniu 24 października 1937 r. swoje młode, a tak już smutne życie"...

Słowa te zabrzmiały nieubłaganie i stały się dokonanym, bolesnym faktem. Trudno było powstrzymać łzy, mając na uwadze śliczną, młodziutką twarzyczkę Zmarłej, Jej wiersze, Jej listy, na które otrzymałam odpowiedź: ustawiczna tęsknota „Stelli Maris" była niewątpliwie tęsknotą za Pięknem i Prawdą Wieczną. Ona nie żyła życiem powszednim, mając przeznaczone od pierwszej chwili inne życie. Była tylko gościem na ziemi, rośliną, która na chwilę zakwitła, białą, cudną chmurką na błękicie, która pozostawiła po sobie tylko błękit i jakieś dobre, czyste wspomnienie.

Nie ma już wśród nas „Stelli Maris", ale na zawsze pozostanie w sercach „Krainiaków" pamięć o Niej. pozostanie smutek, że odeszła i nigdy nie wróci, pozostanie na zawsze Jej jasny duch. W modlitwach naszych, nie zapomnijmy o Niej i przez pamięć dla „Stelli Maris" uczmy się również oddychać tą czystą atmosferą piękna i prawdy, jaką Ona przez całe życie oddychała...

Zofia.

DO WIADOMOŚCI ZAINTERESOWANYCH!

„Maruta" przesyła kilka słów do wiadomości zainteresowanych:

„Halo! „Wirycie"! Czy nie byłeś przypadkiem w dzień Wszystkich Świętych na cmentarzu w Rudzie Pabianickiej? Jeżeli tak, to znam Cię już od dawna. „Mała Konwalijko", jeszcze raz to samo — patrz śmiało w przyszłość i bierz ze mnie przykład, bo przecież doskonale zgadzam się z losem. „Biała Uajali", nie gniewaj się na mnie, ale tym razem nie mogłam uczynić zadość Twej prośbie".

Na zakończenie jeszcze kilka słów dla Pani, „Maruto": zdjęcia ucieszą mnie ogromnie — już naprzód dziękuję za nie i serdecznie pozdrawiam Panią!

„JESTEŚMY SOBIE MAŁYMI, KOCHANYMI DZIEWCZYNKAMI"...

„Stefcia" i „Lucia". Bardzo żałuję, że nie mogę zamieścić tych miłych zdjęć w „Krainie". Pewna jestem, że przyniosłyby radość. A może, Miłe Dziewczynki, namyślą się jeszcze i zdecydują pokazać swoje buzie w „Moich Powieściach"? Czekam na jakąkolwiek decyzję! Tymczasem zaś, Moje Drogie, oddaję Wam głos:

„Jesteśmy sobie małymi, kochanymi przez wszystkich dziewczynkami. „Lucia" jest przystojną ciemną blondynką o niebieskich oczach. Pracuje w biurze. Zasyła pozdrowienia dla „Mistyka", „Erosa" i „Murzynka". „Stefcia" jest z natury poważniejszą. Posiada okrągłą twarzyczkę, niebieskie oczęta i długie, złociste warkocze, przy tym jest bardzo ładna. Pozdrawia: „Samotnego mieszczucha", „Białego Zwida", „Nr. 703", „Wytwornego", „Włóczęgę", „Skrzydlatego Rycerza", „Płomienne Serce", „Milusia II" i „Waldego".

WYOBRAŻAM SOBIE...

„Rena z Kujaw". Na zamieszczenie fotografii — zgadzam się z radością! Przy tym wyobrażam sobie wielkie rozczarowanie tych, którzy myśleli o Pani w ten sposób, jak pisze Pani w liście. Łączę bardzo miłe pozdrowienia i przychylam się jak najchętniej do prośby Pani, dotyczącej komunikatów:

„Sportsmenko z Kujaw", znamy się, prawda? Ściskam łapki! „Reniu z Mogilna", pozdrawiam Cię. Czy wiesz, że mieszkam niedaleko? „Złote Słoneczko", zachwycam się Tobą. Przyjmij ode mnie miłe pozdrowienia.

P. P. Płóciennikowi, Czekalskiemu i Z. z Grudziądza — moc słów uznania za wierszyki i moc pozdrowień!"

„TAK BARDZO CHCIAŁABYM NAWIĄZAĆ KORESPONDENCJĘ"...

„Amazonka". Niestety, prośbie Pani nie mogę uczynić zadość, gdyż, jak już to kilkakrotnie podawałam, adresy Sympatyków „Krainy" są wyłączną tajemnicą redakcji. Jeżeli jednak zależy Pani tak bardzo na korespondencji z „Czarną Perełką", to proszę przesłać list dla Niej na moje ręce, a ja go bardzo chętnie przekażę dalej.

A teraz kilka słów Pani:

„Halo! Tu „Amazonka"! Wróciłam już do Poznania, ale nie spotkała mnie tutaj żadna niespodzianka, t. zn. nie otrzymałam żadnego listu od „Krainiaków", Smutno mi...

Tak bardzo chciałabym nawiązać z kimś korespondencję. Szczególnie z jakimś miłym studentem lub oficerem marynarki z Orłowa lub Gdyni. Czekam!"

A MOŻE...

„Maryla spod Wągrówca". Dawno nie pisałam do Ciebie, Miła Moja, tak, że trochę straciłam orientację. Nie wiem na przykład, czy pracujesz jeszcze w tym samym przedsiębiorstwie i czy jesteś z swej pracy zupełnie zadowolona? Ciekawam też, czy sweterek już uszydełkowany? Powinno tak być bo po co ma leżeć ta barwna włóczka, gdy może milej się prezentować na osobie Pani.

Wspominała Pani, Dziewczynko, że zamierzasz mnie odwiedzić w redakcji, ależ proszę bardzo, chętnie porozmawiam z Tobą! A może my się już znamy? Czy to nie z Tobą jechałam pociągiem Żnin via Inowrocław, Toruń, Warszawa i dalej? Jeżeli tak, to znasz mnie już i wiesz, czy jestem młoda, czy też starsza. No, Marylusiu?

Spodziewam się szybko wiadomości od Ciebie i w tym oczekiwaniu pozostaję!

BÓG ZAPŁAĆ!

„Złote Jabłko". Serdeczne podziękowanie składam Panu za życzenia noworoczne przesłane naszym redakcjom, administracji, mnie oraz wszystkim naszym współpracownikom i czytelnikom. Zaś za specjalnie dobre życzenie rozwoju „Moich Powieści" bardzo jestem Panu wdzięczna i nawet wzruszona i z serca mówię proste: Bóg zapłać!

Wzajemnie życzę Panu na cały długi okres nowego roku szczęścia i błogosławieństwa Bożego — niech uśmiech zadowolenia i spokoju nie schodzi z twarzy Pana i niech w sercu stałe obierze sobie miejsce!! !

CZY TO WYSTARCZY?...

„Kochane Oczęta". Zapewniam Panią, że wszystko jest na jak najlepszej drodze. Czy to wystarczy i czy Pani zadowolona?

SĄDZĘ...

„Rudi". Dziękuję Panu za nadesłanie adresu i pozdrowienia. Sądzę, że przy najbliższej okazji otrzymam od Pana długi bardzo list — czekam na niego. A na razie pozdrawiam jak najserdeczniej i zasyłam uścisk dłoni.

ZAWSZE DAWAĆ DOWÓD PAMIĘCI

„Taki Jeden". Serdecznie dziękuję Panu za życzenia noworoczne. Nie wierzę w złe serce Pana — zapłać 4 zł., a wszystko będzie znowu radosne i, co za tym idzie, zadowolone! Rozumiesz? Taki miły i grzeczny list napisał mi Pan ostatnio, Miły Chłopcze, że aż się zdziwiłam i przyjęłam. Pamiętam na przykład Twój ostatni list, w którym rozmyślnie pisałeś po wszystkich marginesach i rogach, abym miała więcej biedy w odczytywaniu treści, ale nie miałam o to żalu do mego przekornego wychowanka!

Cieszy mnie bardzo, że masz Pan tyle sentymentu do wierszy M. Z. — rzeczywiście są one bardzo, bardzo kochane! Ja w zupełności podzielam Twoje zdanie, że winna wziąć w życiu złoto najszczersze i najstarsze — lecz widzi, Pan, w życiu tak różnie bywa i jest ono takie trudne i ciężkie!...

Nie, ta pani nie ma siostry w Zdunach — może Pan nam napisze o niej trochę więcej — dobrze?

A w ogóle to proszę zawsze znaleźć trochę czasu na słów kilka, mimo, a może właśnie wbrew pracy, która Go tak absorbuje. Moje szczere życzenia na rok cały i przyjacielski uścisk dłoni!

W TEJ MYŚLI...

„Słodka Dary". Dobrze, przyjmuję Panią do „Krainki" w tej myśli, że udzielisz nam dużo swej beztroski, zadowolenia i tego uśmiechniętego spojrzenia na świat, którym się wykazałaś w swym pierwszym liście do mnie. Pamiętaj, nie sprawiać nam zawodu!

Pozdrawiam Panią serdecznie i przechodzę do komunikatów:

„Joleńko z Cz.... śle Ci piękne pa!" Przypomnij sobie nasze spacery hen, daleko! Serdeczny uścisk od Tadka.

„Merle" — ostatnio bywam w majątku. Czuję się morowo. Skrobnij do mnie.

„Rozśpiewana Izabello" — „Sarenko", miłe Wy Istotki Kochane, czy to nie czasem Irka M. i Basia D. z Cz.... Znamy się. Całuję. Dla Romka M. siarczystego buziaka.

„Zdziśko R." czy jesteś zawsze w Sępolnie? Zgadnij kto ja? Całuję mocno buzię. Kuzynówi moc pozdrowień.

„Henry" jesteś dużym „łobuzem", prawda? Pozdrowienia!

„Samotnemu" dużo pogodnych dni!

„Złote Jabłko". Piękny pseudonim, bo i jakże, książka pisana przez Kraszewskiego ma też ten piękny tytuł, czy mogę się spodziewać liściku. Pozdrawiam.

„Blanko" — słowa uznania za wierszyki.

„Słodka Danuś" podobasz mi się, jesteś kochana! Napisz, proszę, a odpowiedź murowana! Całej „Krainie" wesoły uśmiech!

NAPISZ MI!

„Dumka". Najdroższa Moja! Trzymam Twój list ostatni w dłoni i... jestem tak wzruszona, że czuję, jak krople dobrych łez wpadają mi zwolna w serce. Cicho, wolno i słodko... A przypominam sobie, że w dniu, w którym otrzymałam go i przeczytałam po raz pierwszy — też byłam wzruszona ogromnie.

Dobrze uczyniłaś, Maleńka i żyj tak, jak sobie postanowiłaś. I proszę Cię tak bardzo serdecznie — napisz mi od czasu do czasu słów kilka o sobie — pragnę mieć zawsze wiadomości od Ciebie.

Chcę cieszyć się Twoimi radościami i przejmować troskami, które zachodzą wszak w życiu każdego człowieka. I skoro już pobłogosławi Ci Bóg — donieś mi proszę!

Życzę Ci dużo, dużo spokoju i całuję na długi czas naszego milczenia.

„Blance", „Barci", „Czarnemu Hajduczkowi" dziękuje „Dumka" za słowa najlepsze i pozdrawia je niesłychanie serdecznie. Ponadto „Białą Ujajli" oraz całą „Krainkę".

NAPISZ DO NIEJ!

„Amazonka". Załatwiam dziś list Pani z października, w którym prosisz mnie o skomunikowanie Cię z „Czarną Perełką". Otóż napisz do niej, a nie wątpię, że będziesz zadowolona z wymiany myśli. Ale nie możesz ode mnie żądać, abym w Twoim imieniu zwracała się do tej panienki — to trzeba Tobie samej załatwić. Przyślij mi, jak zwykle list zaadresowany jej pseudonimem, a moją rzeczą będzie dosłanie go pod właściwy adres.

To jedno. A teraz drugie, mianowicie komunikaty, których jest sporo:

„Halo! Tu „Amazonka" — już wróciłam do Poznania, czy są jakie listy dla mnie w projekcie?

Rycerze znad polskiego morza, może który z Was napisze do mnie kilka słów? Może jakiś oficer marynarki?

„Henry!" Tobie moc miłych pozdrowień i słodkie pa! Pisz — odpowiem Ci.

Wszystkich „Krainiaków" pozdrawiam serdecznie i posyłam wesoły uśmiech!

POZDRAWIAM

„Samotny Sfinks". Pozdrawiam Cię, Dziewczynko i zamieszczam Twoje komunikaty:

„Rysiek G. — Oporowo". Dlaczego tak uparcie milczysz? Napisz choć kilka słów!

P. Waldy W. — Gdynia. Może zbyt mocno uraziłam Cię i ubliżyłam — możesz już znowu pisać, dziewczynka będzie bardzo grzeczna. Wybacz jej, bo taka już bywa kapryśna!...

P. C. Jabłoński z Gr. Słoneczko gniewa się okropnie na Ciebie, że milczysz. Napisz już szybko!, Co z Twoją Siostrzyczką? Wyjechała po studiach z Poznania i odtąd nie ma wiadomości, ani od niej, ani od Ciebie!...

Dużo miłych pozdrowień dla Was obojgu zasyłam — Marysieńka T.

Pawło Szym. Miłe pozdrowienia od kogoś, kto był w Łeknie pow. wągrowieckiego na „Zlocie Śpiewaków" w roku 34. Czy przypominasz mnie sobie?

„Orliczu"! Wróciłam po wielu przeszkodach i przygodach do domu. Od razu wpadłam w melancholię, gdyż na zwykłym miejscu nie znalazłam znanej koperty — tak czekam, czekam! Pozdrowienia dla wszystkich „Krainiaków".

CIESZY MNIE!

„Sportsmenka z Kujaw". Cieszy mnie, Dziewczynko, że tak dobrze czujesz się w gronie naszej „Rodzinki"! Prośbie Twej, aby „Moje Powieści" wychodziły codziennie, niestety, zadość uczynić nie możemy — na apel Twój, aby wszyscy, którzy czytają ten tygodnik, wstąpili do „Rodzinki" wywołał mi dobry uśmiech na usta. Taka z Ciebie kochana entuzjastka — Ty mała „Sportsmenko"!

Pozdrawiam Cię serdecznie i zamieszczam komunikaty:

„Halo! Halo! „Reniu G." znamy się. Dziękuję za pozdrowienie. „Rybaku z Helu" — miłe są Twoje liściki. „Edku z Gdyni", odezwij się! „Milusiu II". proszę o fotografię. „Wirrycie" znamy się. „Marzycielu z nad Noteci" napisz do mnie list. „Zbijobruku Poznański" przyjmij wesołe „pa"! „Stepowy Płomieniu" — dziękuję za pozdrowienie. „Wirrycie" ładne piszesz nowelki. „Wiarusie „Murzynku" — odezwij się. S. B. mieszkamy blisko siebie. Halo „Don Juan", „Te - Em", „Eros", „Biały Zwid". Pragnę z Wami korespondować. Pa!

Wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom braterski uścisk dłoni i wesołe Pa!

DO WIADOMOŚCI ZAINTERESOWANYCH

„Wieszczka Kwiatów" przesyła do wiadomości zainteresowanych, co następuje:

„Orion", dziękuję Ci za zainteresowanie się moim pseudonimem, lecz adresu przesłać nie mam ochoty, gdyż jestem przekonaną, że spotkałoby Pana rozczarowanie.

„Roześmiana Geńko", dziękuję Ci za pozdrowienia i przesyłam moc uśmiechów".

Teczka Wujka Janusza

ŻYCZENIU STAŁO SIĘ ZADOŚĆ...

„Bajka". List Pani przyszedł na same święta i ogromnie mnie ucieszył. Jak to dobrze, że zapanowała znowu pomiędzy nami idealna harmonia. Życzeniu Pani, dotyczącemu śp. „Stelli Maris", stało się zadość. Serdecznie Panią pozdrawiam i w pełni odwzajemniam nadesłane życzenie noworoczne.

Acha! Pyta Pani jak spędziłem święta? Otóż jak zwykle pogodnie i bardzo morowo! A Pani?

* * *

Wiersz, który powstał wśród ośnieżonych odwiecznych lip Nowej - Wsi Drogiej Pani Zofii Z. — dedykuję.

Zrodziła się radość w mej duszy,
Więc pójdę z nią wśród ludzi —
Pójdę... by tych samotnych
Z cichej rozpaczy przebudzić.
Pójdę... by wlać do serc ich
Wiarę, co w duszy mej gości —
By mniej zła było na świecie,
A więcej tej cichej radości.
Pójdę... i podam swe dłonie,
Tym najsmutniejszym na świecie —
Otrę ich łzy zgorzkniałe,
Do serca przytulę, jak dzieci.
Szeptać im będę swe słowa:
Radosne, z szczęścia utkane,
Aż w duszach tych najsmutniejszych
Wzejdzie słoneczko świetlane,
Aż się w tych duszach starganych
Cisza nadzieją rozdzwoni —
Wyrwę te serca samotne,
Z wiecznego smutku toni!...

Kaja Purollówna

WIERSZE PÓJDĄ DO DRUKU PO POPRAWCE

„Czarodziejka". Wierszyki piękne, tylko coś nie w porządku z rytmem. Otóż nie jest on dostatecznie uwzględniony w pierwszej i czwartej zwrotce wiersza: „A gdy wspomnienie zadzwoni" i w pierwszej zwrotce wiersza „Na Gromniczną". Proszę, niech Pani te niedokładności usunie, a wierszyki z całą przyjemnością zamieszczę. Ślę Pani bardzo serdeczne pozdrowienia i wiadomość, że z prośby, niestety, nic nie będzie!...

WYOBRAŻAM SOBIE...

„Maleńka Dzidzi". Treść pocztówki przyjmuję z radością do wiadomości. Wyobrażam sobie, ile „Maleńka Dzidzi" wywiezie z Wisły miłych wrażeń i fotografii i wyobrażam sobie już teraz z jaką satysfakcją będę później odczytywał listy Maleńkiej Marty. Życzę na razie jej jak najlepszego samopoczucia i pełnego wykorzystania zimowych wakacyj.

CZY SZYBKO?

„Wieszczka Kwiatów". Śliczne są Pani wierszyki. Niech to wystarczy za wszystkie słowa uznania. Czy „Wieszczka Kwiatów" szybko do mnie znowu napisze?

NA ROZDROŻU

Na rozdrożu — chatka mała
Stoi już od lat.
Siedzi dziewczę u okienka,
Tęsknie — patrzy w świat...

Szczere pole — świat zasnuły
Śnieżno - białe mgły,
Ból, tęsknota serce skuły,
Z oczu płyną łzy...

A za oknem, wicher wyje,
Biały tuman gna.
Dziewczę w dłonie twarz swą kryje
I jak dziecko — łka...

„Wieszczka Kwiatów".

Raj kobiet

Mądre rady dr. Drawbella dawane kobietom, które kochają

Angielski pisarz, Drawbell, udziela kilka bardzo życiowych i praktycznych rad kobietom, które „drżą" o ukochanego.

— Miłe panie — zwraca się do nich Drawbell, pamiętajcie o jednym: mąż czy przyjaciel spodziewa się po was, że nie będziecie mu nigdy wchodzić w drogę. Mężczyzna nie znosi, gdy kobieta depcze mu po piętach, gdy stawia mu „warunki", żąda by jej ciągle powtarzał, że będzie ją kochał „wiecznie", że nie zdradzi jej „nigdy", że jest „jedyną", inną niż wszystkie i t. d. Mężczyzna potrzebuje odmiany. To już natura taka.

Gdy on znalazł nowy „ideał", który ma zamiar ubóstwiać zawsze (aż do czasu, gdy spotka kogoś innego), spodziewa się po poprzednim ideale rezygnacji, spartańskich cnót, olimpijskiego spokoju. Chce wtedy mieć spokój (to znaczy, że chce w spokoju ubóstwiać inną). Już nie pamięta, że te same zaklęcia i słodkie słowa mówił tamtej, nie należy mu więc przypominać nie w porę dawnych najsłodszych przeżyć, o których w danej chwili nie pamięta i nie chce pamiętać. Jest przekonany, że teraz dopiero kocha, a poprzednie uczucia klasyfikuje w rubryce: przyjaźń.

Dokuczliwe pytania, dotyczące wspólnych znajomych, wprowadzają go w irytację. Nie należy wypytywać się go z czarującym uśmiechem kiedy ostatnim razem widział się z tą, czy przypadkiem nie spotkał onej, czy posłał tę książkę pani tej... tak, jak to obiecywał. Cała ta strategia nie zda się na nic, mężczyzna będzie teraz coraz czujniejszy i coraz gorzej usposobiony dla tej, którą nazywał aniołem.

Zdradzona kobieta powinna płakać w cichym kąciku, nie pokazywać czerwonego nosa, chociaż od czasu do czasu parę łez wylanych w odpowiednim momencie sprawi mężczyźnie pewną satysfakcję — zrozumie bowiem, że jest naprawdę kochany.

Gdy pani się spostrzeże, że na niebie jawią się chmury, zwiastujące burzę, a w gęstej mgle widać kształt morskiego węża (mamy na myśli rywalkę), niech się uzbroi w cierpliwość i broń Boże! nie wspomina lubej przeszłości, nie powołuje się na dawne wyznania i zaklęcia. Niech w ogóle na jakiś czas zapomni o tym, że i ona była jedyną, najmilszą i t. d.

Najniewłaściwszą metodą jest w tych niebezpiecznych okresach narzucanie się i okazywanie przesadnej czułości. Nie ma nic nudniejszego nad objawy czułości ze strony kobiety, którą się zdradza. Ale niektóre panie w obliczu niebezpieczeństwa tracą głowy i czepiają się kurczowo mężczyzny, zamiast pozwolić mu odbyć nową przejażdżkę na karuzeli i upoić się nią aż do mdłości i do zawrotu głowy.

I jeszcze jedno — nigdy nie krytykujcie domniemanej lub wiadomej rywalki, nie nazywajcie ją „klempą" ponurą ani idiotką, bo same zasłużycie sobie na to miano.

I żadnych zwierzeń przyjaciółkom! W danej chwili wyda się jak najgorsze świadectwo „zimnemu draniowi", „brutalowi", który i t. d. i t. d., a po jakimś czasie, gdy zimny drań znudzi się nową przygodą i wróci do portu — żałowałybyście nieopatrznie rzuconych słów, które dla dobrych przyjaciółek stanowią temat do złośliwych „pogadywek" na wasz temat.

Takie, a nie inne rady daje swym rodaczkom doświadczony życiowo Drawbell.



K 33821 Kostium gejszy: wąska, czarna atłasowa spódniczka, kimono w kolorze harmonizującym; ozdobę stanowią egzotyczne motywy (wzór oryginalnej wielkości nr. 11706/(). K 33805 Butelka wina: kostium bardzo łatwy w wykonaniu składa się z luźnej sukni bez rękawów z trójkątnym wycięciem na plecach i etykietą w rodzaju fartuszka.

Kroje powyższe nabyć można w naszej administracji w cenie 1,90 zł za sztukę.

MK 33816 Gęsiarka: jasno niebieska spódniczka z aplikowanymi gąskami, czarna kamizelka z aksamitu, biała batystowa bluzka i chustka na głowę czerwona, w deseń. Krój Beyera na 10, 12 i 14 lat. K 33822 Pierot: spódniczka jedwabna w barwne pasy i jednokolorowa bluza bez rękawów. Przy szyi rysa z szklanego batystu. K 33804 Kostium „rokoko": spódniczka haftowana w barwny kwietny deseń, jednokolorowa bluzka z odstającą baskinką; kokardki z czarnego aksamitu.

Ze świata

Nowy wynalazek ułatwia poszukiwanie rud w skorupie ziemskiej

Na niedawnym posiedzeniu Królewskiej Szwedzkiej Akademii Nauk odznaczeni zostali dr. Axel Lindblad, dyrektor techniczny gwarectwa węglowego Boliden i jego asystent Dawid Malqvist złotym medalem Brinnela za pracę nad nowym grawimetrem statystycznym i jego zastosowaniem przy szukaniu złóż rudy. Dotychczas złoty medal przyznany został tylko w jednym wypadku.

Dr. Lindblad i jego asystent po raz pierwszy użyli grawimetru tj. instrumentu dla mierzenia ciężaru ziemi, przy poszukiwaniach rudy. Skonstruowali oni aparat na tych samych zasadach, na jakich zbudowany jest grawimetr i dowiedli, że nadzwyczaj czuły ten instrument może dać geologom cenne usługi.

Objaśniając swój wynalazek, dr. Lindblad zaznaczył, że podstawą tego instrumentu jest założenie, że ciężar ziemi czyli siła przyciągania, nie oddziaływuje w tej samej mierze na różne przedmioty, co zależy od ich gęstości lub ciężaru gatunkowego. Dlatego sporządzili czuły aparat, aby mogli stwierdzić obecność rud w skorupie ziemskiej. Aparat jest tak czuły, że notuje jedną dziesiątą milionowej przyciągania ziemi. — Podstawą aparatu jest sprężyna elastyczna z języczkiem, który na specjalnej podziałce, notuje precyzyjnie wszystkie wahania.

Świat i życie

O Japończykach i Japonii

Obecnie cały świat interesuje się Dalekim Wschodem i dlatego podajemy do wiadomości to, co o Japończykach opowiada profesor dr. Bohdan Zaborski. W drodze powrotnej z Japonii zatrzymał się dr. Zaborski w Cleveland i z tej okazji „Wiadomości Codzienne" pisały co następuje:

W przejeździe z Japonii do Polski zatrzymał się na chwilę w Cleveland, dr. Bohdan Zaborski, profesor antropo-geografii uniwersytetu Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie, który reprezentował Polskę na Międzynarodowym Zjeździe Geografów, jaki się odbył w Tokio, w sierpniu br. Profesor Zaborski po zjeździe zatrzymał się na szereg tygodni w Japonii i zwiedził ją całą a także udał się do Mandżurii, aby się przyjrzeć, jak tam ludzie żyją i mieszkają. Złożył też wizytę szczepowi Ainu, który mieszka w północnej Japonii, a jest szczepem wymierającym podobnie jak Indianie w Ameryce.

Z podróży swych miał mnóstwo interesujących szczegółów, które opowiedział gronu osób, jakie zebrało się na jego przyjęcie w Cleveland.

Opowiedział więc prof. Zaborski, jakim narodem są Japończycy. Jest to rasa ludzi pochodząca z dwóch odmiennych szczepów, a więc szczepu malajskiego pierwotnego, który te wyspy prawdopodobnie zamieszkiwał przed dziesiątkami tysięcy lat i szczepu chińskiego. Przez krzyżowanie się małżeństw wytworzyła się nowa rasa ludzi, których znamy pod nazwą Japończyków. Są to ludzie niscy, krępi o ruchach powolnych, ale zdecydowanych. Japończyk czyni wszystko z premedytacją i namysłem. Gdy nawet na ulicy zapytasz Japończyka o zwykłą informację, albo gdzie jej szukać, nie odpowie z miejsca jak Europejczyk czy Amerykanin. Zastanowi się na chwilę, ale gdy już udzieli informacji to bardzo ścisłej i dokładnej.

Japończycy są ludźmi o życiu zamkniętym, własnym. Niechętnie udzielają informacji o sobie, a zato chcą wszystko wiedzieć o innych ludach, rasach, narodach i szczepach.

Kraj jest nadzwyczaj przeludniony i szuka ujścia dla swej ludności. Stąd to była wyprawa na Mandżurię i stąd też nastąpiła obecna wojna z Chinami. Japonia szuka ekspansji i znaleźć ją musi, bo nie sposób jest wyżywić całej ludności japońskiej na terenie, jaki Japonia posiada.

Głównym pożywieniem Japończyka jest ryż, ryby, mięczaki i wodorosty. Pola ryżowe przez ciągły podział tak zmalały, że dziś jest dużo rodzin, których pole ryżowe wynosi 20 lub 30 metrów kwadratowych i na tym musi wyżywić się cała rodzina.

Główną charakterystyką Japończyków jest bezwzględna czystość. Takiej czystości, jaką się widzi w Japonii nie ma chyba nigdzie na świecie. Japończyk kąpie się conajmniej dwa razy dziennie i to w wodzie niezwykle gorącej. Wzorowa czystość — panuje wszędzie, tak na wsi, jak i po miastach.

Domy dzielą się na dwa rodzaje — wiejskie i miejskie. Wiejskie są kryte strzechą ryżową, podobnie jak u nas w Polsce słomą, a miejskie nowoczesne kryte są dachówką.

Mężczyzna jest głową domu i zajmuje pierwsze miejsce w rodzinie. Życie religijne jest mniej rozwinięte, niż w krajach chrześcijańskich. Dwie są religie: Szintoizm, który właściwie jest religią państwową, a właściwie patriotyzmem podniesionym wprost do kultu religijnego i buddyzm. Japończycy nie chcą jednak wiele mówić o swej religii. Niezwykłe też wielce podejrzliwi wobec wszelkich misjonarzy zagranicznych i w ogóle nowinkarzy. Kult życia rodzinnego jest bardzo wysoko rozwinięty, co jednak nie przeszkadza pewnym osobliwym pojęciom etyki i moralności, jak np. sprzedaż dziewcząt do domu gejsz lub wprost do domów rozpusty przez ich własnych ojców.

W ogóle życie japońskie jest zgoła odmienne od życia Europejczyków i Amerykanów. Japończycy odznaczają się tym, że przyjmują chętnie od Amerykanów i Europejczyków dodatnie strony życia, a odrzucają ujemne. Mimo więc wszystkich zdobyczy cywilizacyjnych, jakie Japonia posiada, jest ona nadal krajem czysto azjatyckim o swoistej zupełnie kulturze nie spaczonej wcale naleciałościami czy zdobyczami zachodniej cywilizacji.

ADAM CZEKALSKI.

Prawo pierwszej nocy

(NOWELA OSNUTA NA ZWYCZAJACH STAROSŁOWIAŃSKICH.)

Stary Wszerad siedział w komorze z synem swoim Spitosławem i zięciem Domawitem i, słuchając rzępolenia gęśli, dochodzących aż tutaj z świetlicy, milczał uparcie i wzrokiem błądził po obszernej komorze, jakby nim czegoś szukał. Spitosław spoglądał na starego, to znowu na Domawita, a nie mogąc się od nich słowa doczekać, pierwszy podjął rozmowę.

— Ojcze, czemu milczycie? Wszakże radzić tutaj przyszliśmy.

Stary się otrząsnął, jakby z bark zrzucał przygnębienie i mruknął

— A no, radzić, radzić, ale jakaż tu rada?

— Prosta i jedna: nie damy Radzisławy panu.

— Spróbuj!

— A to spróbuję. My nie chłopy pańszczyźniane, ale kmiecie wolni i panu zasię od nas i naszych dziewczyn.

— Ot, bajesz niewiada co! Prawo stare takie i obyczaj taki.. Jakoż im się przeciwiać. Toż pan ma prawo sto kijów dać każdemu, ktoby się na to uskarżał.

— Oni to prawo przywłaszczyli.

— Może i przywłaszczyli, ale skoro od pana zależy pozwolenie na małżeństwo, cóż dziwnego, że ma on prawo pierwszą noc poślubną spędzić z każdą ze swoich poddanek.

— Ojcze, a toż istnieje wykup na jus primae noctis.

— Istnieje, ale nasz pan Chwalimir dzisiaj nie chce żadnego wykupu, jeno Radzisławy się domaga, do komnaty swej przyprowadzić ją sobie rozkazał. Pachołkowie jego w świetlicy czekają.

Domawit słychał tych słów teścia i brata swej młodziutkiej żony, którą zaledwie dzisiaj rano przed ołtarzem poślubił, i milczał groźnie. On znał to barbarzyńskie i dzikie prawo tak samo dobrze, jak tamci dwaj, to prawo wyciągnęło swoje szpony nie pierwszy raz, wyciągało je zawsze po nowopoślubione dziewczyny. Ale innym razem można się od niego wykupić panu feudalnemu „bryłą soli i pewną sumą pieniężną, albo patelnią takiej objętości, by narzeczona mogła na niej swobodnie usiąść (sic!)" Tym razem jednak Chwalimir, ich pan feudalny, i słyszeć o wykupie nie chciał. Radzisława była dziewczęciem nad podziw krasnym, najkraśniejszym w najszerszej okolicy, a Chwalimir znany był, jako zbój na krasę niewieścią. Prawda, ani Domawit, ani Radzisława nie podlegali prawu pańszczyźnianemu — oboje wywodzili się z wolnych kmieciów. Lecz cóż z tego? Jakież prawo mogło ich bronić, gdy Chwalimir miał siłę, a oni nie?

W głowie Dowamita rodziły się myśli, jak chmury burzą brzemienne, a w duszy powstawał bunt dziki i straszny. A toż on miłował Radzisławę więcej nad duszę własną, trzy lata o jej rękę zabiegał, ni sypiać, ni myśleć nawet nie mógł, kiedy jej dłużej nie widział. W nim całym każda myśl, każde drgnienie serca i nerwów miłowaniem było ogromnym dla Radzisławy. Sama myśl o tym, że ktoś obcy śmiałby mu ją pokalać, szaleństwem wydać się musiała. I nagle przychodzi taki mus, że Radzisława do pana na pohańbienie iść ma dzisiejszej nocy.

Domawit stanął nagle przed teściem.

— Ojcze — rzekł ponuro — ostawcie mnie tę sprawę. Niech Radzisława idzie do Chwalmira. Ale i ja tam pójdę z nią.

— Co chcesz uczynić chłopcze? — wystraszył się stary.

— Nic, nic, mnie ostawcie tę sprawę — wykręcił się zięć.

— Jeśli ją na pohańbienie tam powiedziesz, strzeż się! — warknął Spitosław.

Nie obawiaj się, obronię ją.

Na tym naradę skończono. Stary Wszerad i Spitosław poszli do świetlicy, gości zabawiać. Domawit został sam. Później przyszła do niego młoda żonka, przez starego do komory przysłana. Domawit wziął jej ręce i w oczy się wpatrzył.

— Radzisławo, miłujeszże ty mnie? — spytał głosem nieco drżącym.

— Więcej nad duszę własną i krew własną, Domawicie.

— I uczynisz wszystko, co ja od ciebie zażądam?

— Uczynię wszystko, co prawo stare i obyczaj nasz słowiański nakazuje.

— Tedy idź się ubierz i pójdziemy do Chwalimira. Dzisiejsza noc do niego należy, jak prawo każe.

Radzisława spojrzała na męża wylękła, potem spuściła oczy i wyszła z komory. Domawit wybrał kindżał obosieczny i za pasem pod świtką go ukrył. Postanowił zabić Chwalimira, zabić Radzisławę i siebie, a nie dać żony młodej na pohańbienie.

Wieczorem stanęli na ganku dworu pańskiego. Wyszedł do nich pokojowiec i kazał Radzisławie iść za sobą.

— Pan ciebie jedną wezwać rozkazał — rzekł.

— Ona nie pójdzie beze mnie — warknął groźnie Domawit.

Służący spojrzał na minę groźną Domawita, wzruszył ramionami i poszedł znowu do Chwalimira z oznajmieniem o zaszłej przeszkodzie. Domawit został na ganku obejmując ramieniem żonę i ściskając rękojeść kindżału. Nagle w drzwiach stanął Chwalimir, oświetlony cały świecami w lichtarzu, który trzymał w ręku służący.

— Cóż to, Domawicie, obawiasz się o swą jagódkę?

— Ona żoną mi jest, w kościele zaprzysiężoną.

Chwalimir śmiać się wesoło począł.

— Toć tego nikt nie zaprzecza. Ale ot, nowina mnie szczęśliwa doszła, tedym sobie uplanował dać twojej Radzisławie ów klin ziemi, co między twoje pole wkracza. I owo chciałem jej jednej dobrą nowinę zwiastować. No, ale skoroś się uparł jej towarzyszyć, pójdźcież dalej, abym was ugościł, a potem i wy mnie ugościcie na swoich godach.

Domawit otworzył w niedowierzaniu szeroko usta, a potem ścisnął mocno żonę za rękę i oboje do nóg pańskich się pochylili, dziękując za dar godowy.

— A jus primae noctis? — spytał z trwogą jeszcze Domawit.

— Zawieszam go dzisiaj na kołku i idę do was w gościnę — odrzekł wesoło Chwalimir.

Wszyscy obecni stanęli jak wryci i nie mogli oczu oderwać od tańczącej pary. Gdy wreszcie przeciągłe, miękkie tony „fandanga" przeszły prędko w skocznego walca, objął Eryk tancerkę ramieniem i zatańczył z nią tak, jak tylko Niemcy walca tańczyć umieją.

Posypały się szumne oklaski, gdy tańcząca para wreszcie stanęła.

Hermoso przystąpił do niego rozpromieniony i zawołał:

— Brawo, towarzyszu! To wam się wybornie udało, a teraz musicie jeszcze wykupić swój fant!

Eryk spojrzał na piękną swą tancerkę i zapytał w guście meksykańskim:

— Rozkażcie, co mam wam dać, piękna dziewico! Wszystko co posiadam jest do waszych usług.

— Cóż sobie mam życzyć? — zapytała Meksykanka, oglądając się po obecnych.

Jakaś stara, jak mumia wyglądająca kobieta, radziła jej, aby zażądała pieniądze; jedna z jej przyjaciółek namówiła ją, aby sobie kazała dać perłowy naszyjnik. Jakiś wysoki, młody chłopak krzyknął, że na jej miejscu będąc, kazałby sobie podarować piękny sztylet damasceński, wreszcie jakaś dowcipna dziewczyna krzyknęła:

— Wiesz co Nicaälo? Zatrzymaj lepiej samego kawalera dla siebie. To ci radzę z dobrego serca.

Nicaäla stała zawsze jeszcze na środku izby niezdecydowana, trzymając szarfę Eryka w ręku, gdy nagle duży jakiś chłopak przepchnął się przez tłum i zawołał groźnym tonem.

— Życz sobie krwi z serca jego Nicaälo, a ja ci jej dam!

To mówiąc, wyrwał szarfę Eryka z rąk dziewczyny, opluł ją i rzuciwszy na ziemię, podeptał ją nogami.

— Ha! — krzyknął Hermoso dziko — Sennor pomści tę obelgę; to może tylko krwią być zmyte!

Hrabia Rauch spojrzał bacznie na olbrzymiego swego przeciwnika, potem podniósł rękę i powalił go na ziemię jednym dobrze wymierzonym uderzeniem.

Powstał szalony krzyk i tłum cały zawrzał oburzeniem.

— Na pohybel obcemu! — zawołali — on zabił Ksafira, jego krew musi popłynąć.



— On tylko pomścił obelgę doznaną od Ksafira — bronił go Hermoso.

— Ksafirze, Ksafirze! — jęczała piękna Nicaäla. — Ty nie żyjesz! Ja cię zabiłam!

— Temu wszystkiemu tyś winna, Nicaälo — ganiła ją jakaś stara kobieta — chciałaś Ksafira w zazdrość wprowadzić i oto masz pogrzeb zamiast wesela!

Wtem zerwał się opłakiwany Ksafire z ziemi, i trąc zbolałą twarz, oglądał się wokoło za Erykiem.

— Jesteście zuchem — zawołał on z zachwytem — i zasługujecie całkowicie na ten zaszczyt, aby Ksafire z wami skrzyżował żelazo. Jaki dzień i którą godzinę wybieracie, senor?

— Kiedy się wam podoba, Ksafire — odparł Eryk uprzejmie.

— Porachujcie się tu na miejscu — ozwały się głosy obecnych.

— Bijcie się natychmiast! — krzyczał Hermoso rozogniony.

— Jestem gotów — zawołał Ksafire, u którego boku stała teraz Nicaäla, rzucając na hrabiego nieprzyjazne spojrzenia, mimo, że przed chwilą dopiero go kokietowała.

— I ja jestem gotów — odparł hrabia Eryk Rauch obojętnie.

— Zgoda — wmieszał się Hermoso — ja będę waszym sekundantem, Sennor!

Sekundant Ksafirego, jakiś opryszek, obejrzał pałasze przeciwników.

Kobiety nie oddaliły się, lecz owszem zbliżyły się bardziej jeszcze do miejsca pojedynku i oczekiwały rozgrywki z zajęciem.

Ksafire zakasał rękawy swej koszuli, okazując parę muskularnych ramion, które wzbudziły podziw obecnych. To samo uczynił hrabia Eryk, a jego białe, dziewiczo pulchne ramiona wprowadziły w zachwyt brunatne Meksykanki.

— Co za piękny kawaler! — zawołały.

— Szkoda, że on musi umrzeć, on jeszcze taki młody! Nie ulega wątpliwości, że go Ksafire zabije.

— Dam na mszę za jego duszę — odezwała się jakaś silna, wiejska dziewczyna.

— Pójdziemy wszystkie na jego pogrzeb! — zawołały one chórem.

Słowa te, obijające się o uszy Eryka, nie były dla niego bardzo pocieszające.

Hermoso zbliżył się do niego i szepnął:

— Senor, czy macie jeszcze jakie życzenia, na wypadek śmierci?

Ale Eryk Rauch, były oficer pruski, nie przestraszył się i stanął odważnie do walz półdzikim swoim przeciwnikiem.

— Kto by zaraz najgorsze przypuszczał — odpowiedział pozornie, spokojnie, ale serce ścisnęło mu się na myśl, jaką boleść by rodzicom śmiercią swoją sprawił! Zginąć tu, wśród obcych i nigdy swoich więcej nie zobaczyć! Boże, miej mnie w swej opiece! — szepnął.

Dano znak do rozpoczęcia walki. Obaj zapaśnicy chwycili pałasze i oddalili się od siebie. Obecni zaparli oddech i patrzyli wytężonym wzrokiem.

Po chwili pokazało się, że byli to godni siebie przeciwnicy.

O ile Ksafire był silniejszy, o tyle znów hrabia Eryk przewyższał go wprawą.

Widzowie nagradzali okrzykami podziwu, każde udane pchnięcie lub uderzenie. Przeciwnicy coraz goręcej na siebie nacierali. Nagle jęknął Ksafire boleśnie, a z rąk jego wypadła broń. Krew polała się strumieniem.

Sekundant Ksafirego oświadczył, że pojedynek skończony i dodał zwróciwszy się do Eryka:

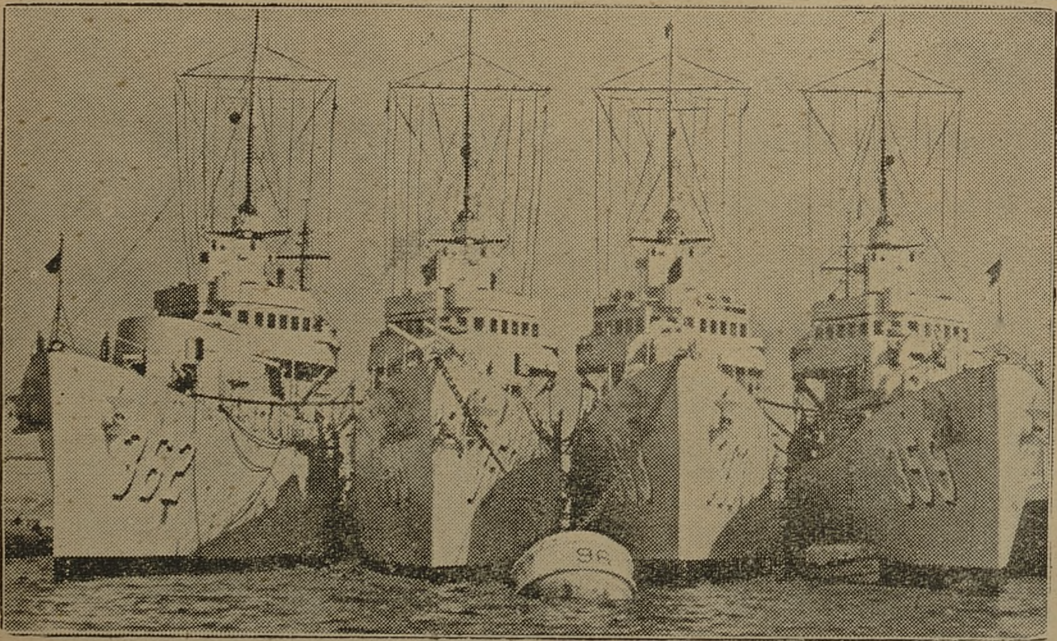
— Ten przeklęty przybłęda tym razem naprawdę zabił Ksafirego, niech go Bóg za to skarze! To wstyd i hańba dla wszystkich mężczyzn z Chihnahna!

Ksafiremu nie śniło się nawet umierać, siedząc, pozwolił sobie bandażować ramię. Nie było najmniejszego niebezpieczeństwa życia.

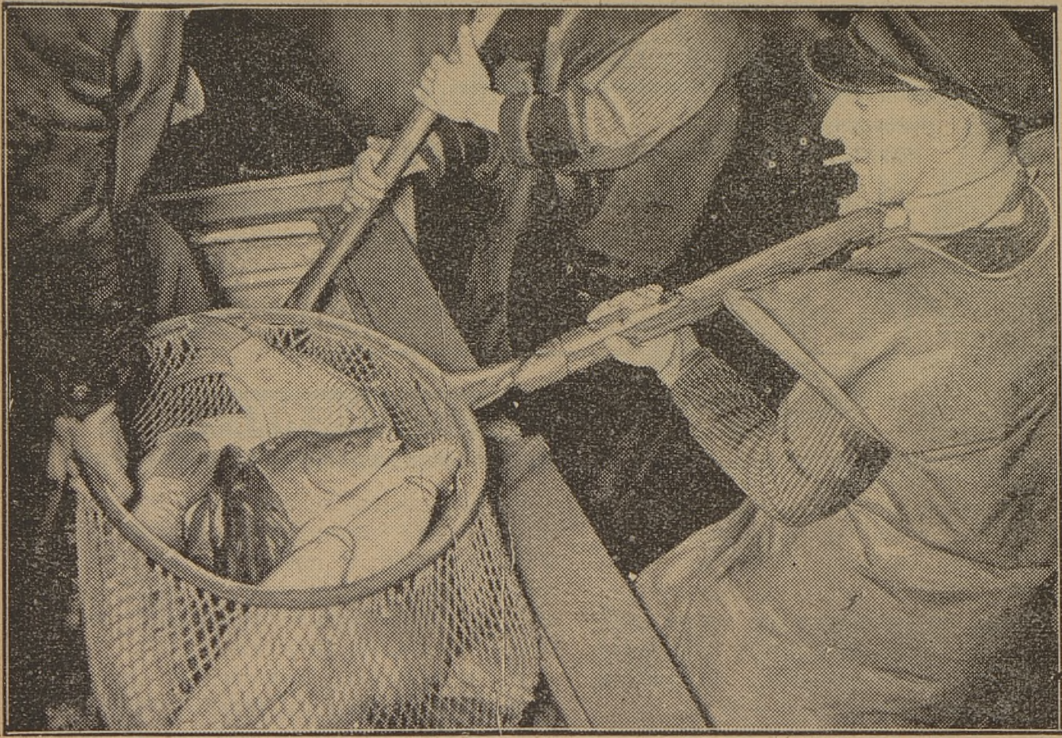
To jednak nie zmieniało usposobienia otaczających. Krew, która popłynęła, wzbudziła chęć w nich do walki.

— Przeklęty przybysz! — krzyknęli znów chórem i kilkanaście ostrych sztyletów zwróciło się w stronę Eryka.

— Czyście powariowali? — skarcił Hermoso nacierających. — Dziesięciu was na-



Kwartet, lecz nie smyczkowy a „wojenny". Cztery nowe kontrtorpedowce armii Stanów Zjednoczonych.



W okresie świąt ożywiony ruch panował w przedsiębiorstwach rybnych.

pada razem na jednego. On będzie z wami wszystkimi po kolei walczył, ale dajcie mu się najpierw czegoś napić i pozwólcie mu zmienić broń!

Słowa jego wywołały pożądany skutek.

— Hermoso ma słuszność! — krzyknęło kilka głosów. — Niech się ten obcy posili i nową broń weźmie przed rozpoczęciem walki! Niech nie mówią, że mężowie z Chihnahna są dzikimi zwierzętami.

— Widzę, że jesteście rycerzami — pochwalił ich Hermoso i wyprowadził Eryka z tłumu.

— Spieszcie teraz do gospody, do którejśmy zajechali i jeśli wam życie miłe, to wsiadajcie na konia i uciekajcie stąd, jak prędko tylko możecie!

— Co? Ja miałbym uciekać? — krzyknął Eryk oburzony. — Nie, zostanę, gdyby się nawet wszyscy obywatele z Chihnahnu przeciwko mnie zwrócić mieli!

— Niemądrze mówisz pan — rzekł Hermoso — i jeśli już koniecznie chcecie ginąć, to skoczcie lepiej do rzeki! Jest to w każdym razie lepsza śmierć, niż się dać zamęczyć i tortury znosić od tej dzikiej tłuszczy!

— Może naprawdę macie słuszność! — rzekł Eryk zawstydzony. — Będzie to rzeczywiście rozsądniej natychmiast opuścić Chihnahn. Dziękuję wam za waszą dobroć dla mnie. Zostawiłbym wam chętnie coś na pamiątkę!

— Jak tak, to dajcie mi jeden z waszych pistoletów! — zawołał Hermoso bez ceregieli, wziąwszy podaną sobie broń, oglądając ją z dziecinną radością.

— Dziękuję wam, Sennor — rzekł wesoło — ale teraz uciekajcie stąd czym prędzej! Czy słyszycie, co się tam dzieje?

— A czy wy nie będziecie mieli przeze mnie jakich nieprzyjemności? — zapytał Eryk.

— Już ja sobie z nimi poradzę — odparł Hermoso z przebiegłym uśmiechem. — Bądźcie zdrowi i niech was Matka Boska ma w swej opiece.

To rzekłszy znikł, a Eryk wbiegł do stajni i wsiadłszy na konia, wyjechał w szalonym tempie.

Dopiero kawał drogi za Chihnahnem oglądnął się za siebie i widząc, że go nikt nie goni, zwolnił biegu. Ucieczka jego wydawała mu się tchórzostwem, ale przecież wołał ją, niż śmierć męczeńską wśród rozhukanej, dzikiej tłuszczy.

Wyobrażał sobie w myśli swój pogrzeb na sposób meksykański, gdzie zmarły leży w otwartej trumnie, przykryty kwiatami i trzyma w ręku cytrynę.

Zaśmiał się na tę myśl i zanuciwszy wesołą piosenkę, popędził dalej zadowolony w łagodną noc wiosenną.

ROZDZIAŁ CCXLIV

Spełnione życzenia Grety

Strata zegarka i pieniędzy martwiła Gretę jeszcze dość długi czas, tym bardziej, że uwiadomiona o tym wypadku policja, nie mogła wpaść na trop winowajcy. Była więc w najgorszym humorze, a biedna Grammlowa niejedną obelgę, niejedno obrażające przezwisko połknąć musiała.

Pewnego wieczora, Greta była w teatrze, gdzie występowała w balecie „Piraci". — Wszedłszy w przez wie do tak zwanego zielonego pokoju, do którego i wybrani z publiczności wstęp mają, zobaczyła Krescencję w żywej rozmowie z jakimś bardzo eleganckim panem, który jednak zupełnie inaczej wyglądał niż jej baron.

— Zachłanne stworzenie — pomyślała Greta — nie dość jej grubego barona, to jeszcze nam spod nosa wyławia kawalerów.

Przybliżywszy się do wesołej pary, poznała dawnego swego znajomego, barona Egona Sturmfedera.

— O, panie baronie — zawołała pozornie bardzo uradowana — pan znowu we Wiedniu? A ja tak często pana barona wspominałam, nieprawdaż Krescencjo?

— O tak, codzienniesmy o panu mówiły! — potwierdziła zapytana.

— Bardzo to chwalebnie z waszej strony, Gretko i Krescencjo! — zawołał baron pochlebiony. — Zostaję na razie we Wiedniu, możemy więc znajomość naszą gruntownie odświeżyć. Możebyśmy dziś poszli na małe souper do Engelbrechta?

— O, co za szkoda, że ja już jestem na dziś zaproszona — zawołała Krescencja, ze szczerym żalem w głosie.

— Szkoda — dodał baron uprzejmie — ale panie, panno Greto i panno Leno? — zwrócił się do tej ostatniej, która właśnie w tej chwili do nich przystąpiła.

— Z chęcią — rzekła Greta.

— A ja także — zawołała Lena.

— Postaram się więc o kilku panów, aby było weselej — rzekł baron — kiedy przedstawienie się skończy?

— O dziesiątej — odparła Greta — ale musimy się przecież pierwej jeszcze trochę odświeżyć i upiększyć!

— O, to wcale niepotrzebne, pani i tak najpiękniejsza — odpowiedział baron grzecznie, rzucając przy tym lubieżne spojrzenie na obnażoną jej szyję i pełne ramiona.

Greta właśnie coś chciała odpowiedzieć, gdy sygnał reżysera jej przerwał. Pobiegła wraz z Leną prędko na scenę, rzuciwszy baronowi przedtem całusek w powietrzu i czułe: Do widzenia!

Baron Egon uśmiechnął się zadowolony, podkręcił wąsa i mruknął: Co za apetyczne stworzenie, ta Greta! A jaka pełna życia i temperamentu! Nie taki zimny i marmurowy głaz, jak Ada! Szkoda, że i Lenę zaprosiłem, byłoby mi z samą Gretą przyjemniej. No, trzeba to będzie innym razem uczynić, przecież jestem tu teraz stale!

W tej przyjemnej nadziei wyszedł z za kulisów i wrócił do swej loży, która się tymczasem zapełniła.

Tuż obok swego miejsca spostrzegł czarnego Petöfiego.

— Sługa uniżony księcia pana! — zawołał serdecznym tonem — jestem zachwycony, że pana tu spotykam.

— I ja również się cieszę — odparł Petöfy uprzejmie — czy pan już dawno w Wiedniu, panie baronie?

— Już od kilku tygodni — rzekł Egon — dziwię się, żeśmy się dotąd jeszcze nie spotkali.

— Dziwne to rzeczywiście — odpowiedział książę — gdybym był miał przeczucie, że państwo tu jesteście, byłbym złożył uszanowanie swe szanownej małżonce. Tuszę, że pani baronowa zdrowa i dobrej myśli!

— Dziękuję księciu — rzekł baron chłodno — żona moja miewa się wyśmienicie i będzie się cieszyła, mogąc powitać pana. Dziś jednak — dodał żywiej i weselej — zaproszę księcia, aby był moim gościem.

— Ależ to niemożliwe o tak późnej porze — usprawiedliwiał się książę.

— Nie zrozumiał mnie pan! — zawołał Sturmfeder z uśmiechem — nie miałem teraz na myśli pałacu Dornbruch, miałem coś dużo zabawniejszego „in petto". Wie pan, takie małe „souper" u Engelbrechta. Postarałem się o dwie hoże i zabawne panienki z hotelu i będzie wesoło!

— Bardzo to ładnie ze strony pana, baronie Sturmfeder — odparł książę chłodno — ale ja nie czuję pociągu do tego rodzaju dam i nie znajduję przyjemności w ich towarzystwie.

— Od kiedy to pan został takim purytaninem — żartował baron. — Przecież mi pan nie odmówi z samych względów grzeczności! To byłoby niesłychane!

Książę Petöfy był jeszcze bardzo młody i bał się ośmieszenia; dlatego też czuł nieprzezwyciężony wstręt do tego rodzaju przyjemności. Duszna atmosfera takich lokali, lejący się szampan, dwuznaczne dowcipy panów i wyzywające obejście się dam z półświatka, to wszystko, czym delektuje się większa część mężczyzn, budziło w nim obrzydzenie i obrażało wszystkie lepsze uczucia, jego duszy.

Przed końcem ostatniego aktu, opuścił baron Egon teatr, odebrawszy jeszcze przedtem przyrzeczenie księcia, co do jego współudziału w uczcie. Po drodze wstąpił do złotnika i kupił dwie piękne bransolety, potem udał się wprost do Engelbrechta, wybrał najobszerniejszy „chambre separé", zamówił wykwintną kolację i dał kelnerowi zlecenie, ażeby wprowadził do wybranego pokoju dwie panie i jednego pana, którzy się o barona Sturmfedera zapytają.

Lena i Greta nie dały długo na siebie czekać.

— To pięknie, że już jesteście, dzieci moje! — przywitał je baron — przypuszczam, że i Petöfy nie da długo na siebie czekać i będziemy mogli wkrótce zasiąść do stołu!

— Kto jeszcze ma przyjść? — zapytała Greta, blednąc pod warstwą różu.

— Książę Petöfy — odpowiedziała Lena — cudowny chłopczyna. Może i jemu masz co do zarzucenia?

— Nie jest on w moim guście — rzekła Greta i popatrzyła znacząco na barona Egona, dając mu do poznania, kto jest w jej guście.

Sturmfeder uśmiechnął się do niej czule.

— Leno — rzekł on do drugiej baletnicy — jeżeli się pani książę tak podoba, to pomieszczę go przy stole obok pani.

Lena była zachwycona tą propozycją i dawała folgę swej zazdrości.

W mniej dobrym humorze znajdowała się Greta.

— On mnie pewnie pozna — myślała zatrwożona — bo chociaż przez maskę twarzy mojej nie mógł wtedy widzieć, to przecież zapamiętał sobie postać, ruchy i głos. Wyobrażam sobie, jaki oburzony będzie, żem się odważyła tak go wtedy do siebie zwabić. Zemści się na pewno za to. Najmądrzejsze jednak z mej strony będzie, zachować zimną krew i swobodę. To go zmyli. Będę też mówiła czysto wiedeńskim akcentem, bo wtedy starałam się przeciwnie mówić jak najczyściej i najdystyngowaniej.

Myśli Grety przerwało wejście księcia Petöfiego.

Spostrzegła, że książę wzdrygnął się na jej widok, ale uśmiechnęła się tylko swobodnie i niewinnie.

— Witam, książę! — zawołał baron — i mówię Sheakespearem, czy Szyllerem: Przybywacie późno, lecz przecież przybywacie! Lena już była całkiem zrozpaczona i zwierzyła mi się ze swej tajonej słabości dla pana, książę!

— Ależ panie baronie — broniła się Lena, rzucając Petöfiemu kokieteryjne spojrzenie, które miało potwierdzić prawdę słów Egona — cóż znów za niedyskrecja!

Przywitanie to było dla księcia bardzo niesmaczne. Aby nie rozśmieszyć obecnych pruderią, powiedział Lenie banalny komplement, ale w gruncie duszy życzył sobie, aby się przyjemność ta jak najprędzej skończyła.

Towarzystwo usiadło do stołu, a kelner podał bulion w filiżankach i pasztety.

Greta zdawała się nie zwracać wcale uwagi na księcia i rozmawiała wesoło z baronem, starając się być jak najbardziej zabawną i dowcipną.

Lena starała się zabawiać czarnego księcia, ale nie wiodło jej się jakoś.

Książę był roztargniony, słuchał tylko pół uchem i od czasu do czasu spoglądał zaciekawiony w stronę Grety.

— Zdaje mi się, żem panią już gdzieś widział — rzekł do niej nagle, patrząc jej ostro w twarz.

— Co za osioł — pomyślała Greta, ale głośno odpowiedziała:

— Z pewnością, jaśnie książę; występowałam dziś przecież w balecie i widziałam księcia w jego loży ze sceny!

Książę zawahał się chwilę, potem rzekł:

— Ale zdaje mi się, że znajomość nasza jest jeszcze starszej daty!

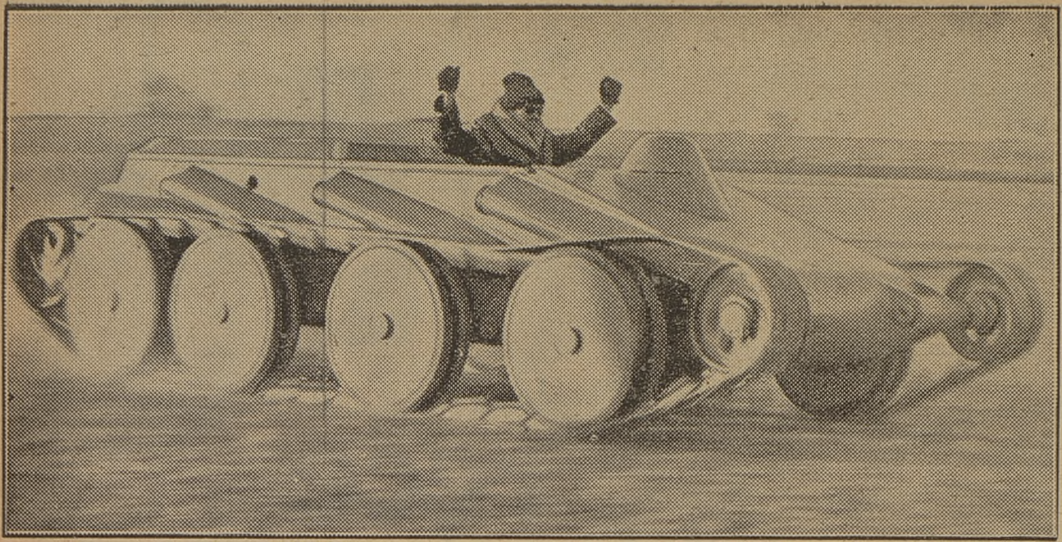
— O, Greto, to daje do myślenia! — rzekł baron pod nosem, grożąc jej palcem i mrugając oczyma.

— Nie, wcale nie, panie baronie — odpowiedziała Greta spokojnie — widzę księcia Petöfiego dziś po raz pierwszy z bliska.

W zapale zapomniała się Greta trochę i wyszła z wiedeńskiego dialektu, którego przez cały wieczór umyślnie używała i przesadzała, a modulacja jej głosu i sposób wyrażania się stawały się księciu przez to jeszcze bardziej znajome. Wpatrywał się w nią bystro i upewniał się coraz bardziej w przekonaniu, że ona była ową nieznajomą, która go zwabiła na to pamiętne tajemnicze rendez-vous, z którego umizgi on wtedy tak szorstko odepchnął. Tak, coraz wyraźniej poznawał w niej tę zamaskowaną heroinę owego wieczoru! To były te same ciemne i fantastycznie ułożone włosy, ta sama głowa, te same pulchne ramiona z silnymi stawami, które mu wtedy nieprzyjemnie w oko wpadły. Utaksował on więc ową przygodę wtedy zupełnie słusznie: Była to dama z półświatka, która w ten wyrafinowany sposób chciała zwabić w swe sieci bogatego i dystyngowanego kochanka.



Młody król Jugosławii, Piotr, zaprosił na wigilię do siebie cały szereg swych rówieśników i kolegów z organizacyj młodzieżowych i obdarował ich sowicie.



Nowoczesny czołg amerykański rozwijający szybkość 84,15 km. na godzinę.

Nie przeczuwał jednak książę, kto był właściwą sprężyną owej podstępnej machinacji.

Im więcej się książę nad tym zastanawiał, tym wstrętniejszym wydawał mu się żywioł, który go obecnie otaczał.

Szepty Grety z baronem i głośny jej śmiech, natrętne usiłowania Leny, aby go zabawić, wszystko to wzbudzało w nim okropny niesmak.

W duszy stanął mu czysty obraz Hortensji. Uczuł nagłą tęsknotę za tak anielskim stworzeniem, a że nie mógł o tej porze do niej pospieszyć, to chciał przynajmniej móc o niej myśleć bez przeszkody.

Wstał więc dość nagle od stołu, nie dawszy nawet ukończyć Lenie zaczętego zdania.

— Baronie — rzekł zwracając się do Egona — głowa tak nielitościwie mnie boli, że muszę przeprosić towarzystwo i odejść. Byłem zresztą tak złym i nudnym towarzyszem, że nie będę panu z pewnością brakował.

To rzekłszy, podał baronowi rękę na pożegnanie, ukłonił się obu damom z lekka i wyszedł pospiesznie z pokoju.

Greta odetchnęła, gdy zobaczyła zamykające się za nim drzwi. Sturmfeder i Lena spojrzeli za nim zdziwieni. Lena była oburzona.

— Obrzydły świętoszek — zawołała rozłoszczona. — Nie jestem przecież ani taką brzydką, ani drewnianą, żeby się ode mnie odsunąć, jak od jakiej jadowitej gadziny i uciekać, tak jak ten osioł to uczynił. Poleciał teraz pewno do swojej matusi: Mamo, ta Lena z baletu strasznie się do mnie przysuwała, ale ja byłem bardzo porządnym i moralnym!

To mówiąc, naśladowała głos i miny księcia Petöfiego, a Greta pękała ze śmiechu. I Sturmfeder wstrzymywał się gwałtem od śmiechu, bo miał za wiele poczucia własnej godności, aby się śmiać z księcia w obecności baletnic. Rzekł więc tylko:

— Dajcie mu spokój. Teraz dopiero zabawimy się dobrze, jesteśmy przecież między sobą!

Żart ten wzbudził wesołość obu dam, które nie miały nic przeciwko temu, że je baron obie równocześnie objął i do siebie przyciągnął.

— Zgadnijcie teraz co za niespodziankę mam dla was! — zapytał baron — głaszcząc nagie ramiona baletnic.

— Jeszcze jakieś danie? — spytała Lena z zamglonym już żenionym spojrzeniem.

— Jeszcze jakiegoś gościa, w miejsce nudnego księcia — zagadywała Greta.

— Coś lepszego! — była odpowiedź barona.

— Może jakiś prezent? — zawołała Lena, ciesząc się już z góry.

— Zgadłaś! — zaśmiał się baron i wyciągnąwszy z kieszeni oba pudełeczka z bransoletami, zapytał: prawe czy lewe, Greto?

Mruknął jej nieznacznie oczyma, aby wybrała prawe, jako piękniejsze i kosztowniejsze.

— Prawe! — rzekła Greta, zrozumiawszy go natychmiast, a Egon włożył jej na ramię wąską, złotą obrączkę z dużym brylantem na środku.

Naramiennik Leny był dużo skromniejszy i tańszy, ale ona z tego była zadowolona. Włożyła go też zaraz na rękę, ozdobioną już kilku innymi bransoletkami i podziękowała baronowi głośnymi pocałunkami, które na policzkach jego wycisnęła.

Podziękowanie Grety było bardziej wyrafinowane.

Popatrzyła Egonowi czule w oczy i szepnęła mu podziękę, przy czym dotknęła jego ucho swoimi ustami, wreszcie pocałowała bransoletę, zapewniając, że ją najbardziej polubi z wszystkich swych klejnotów.

— Co za śliczna bestia — pomyślał Egon, któremu się pod jej spojrzeniem gorąco zrobiło — a jak zręcznie umie grać komedię!

— On musi teraz bardzo być bogaty — myślała Greta — a jaki hojny! Trzeba go teraz będzie mocno trzymać!

Baron zwolnił ramię, którym obejmował Lenę, a natomiast przyciągnął Gretę silniej do siebie i był całkiem pod wrażeniem jej wdzięków. Przebiegła baletnica widziała to i użyła wszystkich sztuczek, aby sobie Egona na stałe zyskać.

Przede wszystkim chciała się pozbyć Leny i mieć wolne dla siebie pole.

— No, Leno — rzekła ona do swej towarzyszki — uderzmy jeszcze w kielichy, na zdrowie tych, których kochamy!

Lena wychyliła chętnie swój kielich z szampanem i zaraz świeżo go napełniła, Greta zaś dotknęła swego kielicha tylko ustami.

— No, Lenko, teraz na twoje zdrowie — rzekł baron, który przejrzał intencje Grety i chciał jej pomóc.

Od chwili, gdy Petöfy pokój ten opuścił, czuł się baron Sturmfeder dużo swobodniejszy w kole baletnic. Przemawiał do nich per „ty", szczypał je od czasu do czasu w obnażone ramiona, głaskał po twarzy i pozwalał sobie z nimi na bardzo słone dowcipy.

Teraz sprzykrzyła mu się Lena i chciał się jej w delikatny sposób pozbyć, aby móc sam na sam zostać z Gretą, która go bardziej pociągała.

Dlatego dolewał jej wciąż szampana, aby ją porządnie upić, co mu się w zupełności udało.

Lena zaczęła się najpierw okropnie śmiać, potem kłócić, a wreszcie wpadła w sentymentalny nastrój i zaczęła okropnie płakać.

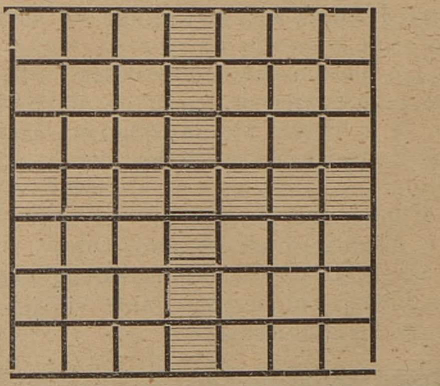
— Gdyby to moja matka widziała! — szlochała, nie mówiąc co jej matka widzieć miała. Matka ta zresztą była tęgą przekupką i nie byłaby się niczym tak bardzo martwiła. Słowa jej zaczęły się coraz bardziej plątać. Wreszcie ucichła zupełnie i usnęła mocno, chrapiąc na głos. W końcu spadła z krzesła przy czym mruknęła kilka niewyraźnych słów, nie obudziwszy się nawet i dalej smacznie chrapała.

Baron tak był Gretą zajęty, że tego wszystkiego nawet nie zauważył. Przyciskał ją coraz silniej do swego serca, a wreszcie szepnął jej coś do ucha, na co ona zdawała się chętnie godzić.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

KWADRATY MAGICZNE
uł. Jan F. Płóciennik



W wolne pola kwadracików wpisać litery o podanym niżej znaczeniu, tak, aby czytane poziomo i pionowo jednakowo brzmiały.

Znaczenie wyrazów.

Kwadrat I.: 1) Nuta. 2) Owad. 3) Gaj.

Kwadrat II.: 1) Zabawa. 2) Imię arabskie. 3) Zwierzę leśne.

Kwadrat III.: 1) Napój z owocu. 2) Część głowy. 3) Ptak.

Kwadrat IV. 1) Kamienica. 2) Imię żeńsike (zdrobn.). 3) Miesiąc.

DOPEŁNIANKA
uł. M. G.

W . . ę . . i . s . ę z . . j . . . e r . z . m, b . . e t . lk . . . z . k . ć.

Odczytać złotą myśl ks. Krasickiego.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 19 stycznia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 1/38 „Moich Powieści": Logogryf: Bolesław Prus.

Bilety wizytowe: 1) Modelka. 2) Literatka. 3) Tancerka.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Siemianowska Irena — Tczew, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Jarecka Jadwiga — Szubin, Gackowski Jan — Gniezno, Jankowska Zofia — Grudziądz. Mróz Tomasz — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Bultrowiczowi z Gniezna i Jankowskiej z Grudziądza.

ADAM NASIELSKI

5)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

— Jaki rudy... — urwał Jaz, gdyż dopiero teraz uświadomił sobie, że jego niesamowity gość, Ranton, miał miedziane włosy.

— Dlaczego on na mnie tak dziwnie patrzał, sir... gdy wychodził? — Cliff miał jeszcze od czasu do czasu trudności ze składnią.

— Powiedziałem mu, że jesteś ludożercą, który gotów jest zjeść go, o ile on mi coś złego uczyni.

— I zjadłbym go... — warknął Cliff zawzięcie i przypomniał sobie po co przyszedł do gabinetu.

— On tam zostawił na stoliku list, captain... ten rudy.

W pierwszej chwili Jaz zerwał się, lecz uspokoił się odrazu. Nie warto szarpać cennych nerwów dla byle głupstwa. Wolnym krokiem wrócił do saloniku i natychmiast zauważył leżącą na stoliku małą kopertę. Była nie zaklejona. Wyjął z niej blady arkusik papieru. Czysty — lecz na odwrotnej stronie Jazon Kent zauważył w górnym rogu wypisaną atramentem cyfrę „23".

Dwadzieścia trzy!? Po co Ranton zostawił tu tę kopertę. Jaz wzruszył gniewnie ramionami i podarł kopertę i arkusik na drobne kawałeczki, które z pasją wrzucił do kosza. Optymizm wziął górę nad złością bez powodów i kapitan uśmiechnął się pogodnie.

— Idziemy na spacer, Cliff.

— Very good ,sir.

Beztroska i pogoda optymisty — Jaza byłaby w tej chwili może nieco zakłócona, gdyby nie okoliczność, że kapitan Kent miał godny uznania zwyczaj nieczytania prasy codziennej. Fakt. Zarzucił płaszcze na ramię i patrzał przez chwilę na Cliffa, poprawiającego muszkę przed lustrem. Albowiem mister Clifford Hallet pretendował do tytułu eleganta.

Jazon Kent położył dłoń na klamce i rzucił, przez ramię, nie odwracając się:

— Weź ze sobą rewolwer, Cliff.

ROZDZIAŁ IX.

PIERWSZA INSTRUKCJA

Jaz i Cliff wyszli nie przez główny portal — lecz przez tylną bramę, wiodącą do Grand Parku. Określenie: tylne ma tu znaczenie jedynie pozycyjne, albowiem pod względem estetyki nie przypominało to wyjście nic tylnego i było niemniej wspaniałe niż fronton gmachu hotelowego od strony Michigan Lake. Jezioro to odgrywa w klimacie miasta Chicago w porze letniej — rolę naturalnej i orzeźwiającej chłodnicy temperatury. Pod wpływem otoczenia z mózgu kapitana pierzchły wszelkie myśli, a pozostała tylko przyjemność swobodnego oddechu, nasyconego żołądka i doskonałego samopoczucia optymisty.

Wszelako w jednej komórce mózgu tkwiła natrętna myśl i ona to skłoniła Jazona do spojrzenia na zegarek na kilka minut przed pierwszą. Uczynił więc energiczne „w tył zwrot" i punktualnie o pierwszej włożył pięciocentową monetę do automatu telefonicznego na Illinois Central Station i połączył się z bankiem La Salle'a. Tym razem mister Sedgwick był piekielnie lakoniczny i oznajmił, że czeka na kapitana o drugiej w banku w swoim gabinecie.

Wobec tego Jaz postanowił jeszcze przespacerować się i pieszo dojść do banku. Telefoniczna rozmowa znów przywróciła jego myśli na tor historii, w jaką się zaplątał. Już? Mógł przecież jeszcze cofnąć się, nie było nic straconego. Wystarczyłoby zastawić choćby w lombardzie jedną z trzech złotych papierośnic, uzupełnić brakującą kwotę do pięciuset dolarów, odesłać panu Sedgwickowi w eleganckiej kopercie z dopiskiem, że przykro mi bardzo, ale nie chcę nic mieć do czynienia z tą tajemniczą historią. Potem rozejrzeć się, sprzedać — było nie było — jeszcze coś wartościowego z wyekwipowania dwuch kufrów, przenieść się do taniego hoteliku (raz na wozie, raz pod, trudno) i poszukać uczciwej pracy w jakimś porcie. Ostatecznie, Jazon Kent był specjalistą w swoim fachu, miał ręce chętne do pracy a kapitanowie marynarki handlowej nie rodzą się znów na kamieniach i — all right.

Ale w tym wypadku nie mógł się już więcej widywać z Thelmą Murray. Niecodzienna dziewczyna, bezpośrednia taka, szczera, no, inna. O nie, jeszcze się nie zakochaliśmy, nie przesądzajmy — lecz... Pozatem jutro ma przyjść ten zwariowany magik od wydobywania rewolweru. Chce dać tysiąc — dalibóg, nie wiem za co. Jednak — tysiąc to tysiąc, pięćset też piechotą nie dyma, a mieszkanie w hotelu Stevens lepsze jest pewnikiem od jakiejś dusznej dziury na przedmieściu, weneckie łoże, to nie to samo, co zapluskwiona pościel, na jakiej niewiadomo czyje gnaty wylegiwały się z musu życia. I, na koniec, nic takiego jeszcze nie zrobiłem — tu musi wprawdzie tkwić jakaś omyłka ze strony dziwacznych oferentów, Sedgwicka i Rantona, nie wyklucza to wszakże faktu, że może oni chcą kapitanowi Kentowi ofiarować zupełnie uczciwą robotę na morzu, z dobrą pensją. A wreszcie — ciekawość, zupełnie ludzka, normalna, zrozumiała — co, dlaczego i jak będzie dalej?

Pójdziemy więc do tego Sedgwicka na drugą i pogadamy. Szczerze, otwarcie, propozycja na stół. Jak mi się nie spodoba — adieu i nie prosiłem cię, dyrektorku, abyś mnie — obcemu człowiekowi — odrazu pakował forsę do łapy. Lojalnie uprzedzałem — chciałeś darować, twoja rzecz.

Po takim rozumowaniu Jaz uśmiechnął się już otwarcie do Cliffa i poklepał go po przyjacielsku w ramię.

— Piękne jest życie, Cliff.

— Ale drogie, sir. Skąd pan wziął te pieniądze?

— Ty wciąż jeszcze myślisz, że zatrzymałem kogoś na pustej ulicy, pokazałem mu nabity browning i poprosiłem co łaska na kawałek chleba.

— Nie podobał mi się ten typ, z którym pan dziś konferował, sir. Źle mu z oczu patrzyło.

— Ja się również w nim nie zakochałem. Nie wzywałem go też, sam poszedł.

— Lepiej było na okręcie, captain. Uczciwy chleb smakuje nawet bez masła.

— Zawsze mówiłem, że powinieneś zostać kaznodzieją, Cliff.

— A choćby, może wrócimy do Toronto, sir. Znajdziemy przecież w końcu jakąś robotę.

— Źle ci tu! Mieszkasz w największym hotelu, zajadasz se najsmaczniejsze potrawy, własny pokój, łazienka, dobra pogoda. Nie kracz, mizantropie.

— Nikt nie daje pieniędzy za darmo, captain. I to aż pięćset dolarów. Zobaczy pan...

Tak rozmawiając i przekomarzając się jak zwykle, ani się spostrzegł jak stanęli przed marmurową fasadą La Salle Wacker Building. I ani zauważył, że przez cały czas drogi szedł za nimi niepozorny człowiek, którego droga wcale nie przypadkiem wiodła akuratnie tymi samymi ulicami, co spacer kapitana i jego służącego.

— Wejdziesz ze mną, Cliff.

Na osiemnastym piętrze wysiedli i Jaz zajął miejsce w tym samym fotelu. Tym razem nie czekał jednak wcale. Ledwo wrócił woźny, któremu polecił zameldować się do dyrektora, a już oznajmił:

— Mr. Sedgwick prosi pana kapitana.

Dyrektor personalny banku La Salle'a wyglądał dziś zupełnie inaczej. Twarz jakby poszarzała, a oczy zapadły niczym po bezsennie spędzonej nocy. Wskazał kapitanowi fotel i nawet nie podał ręki na przywitanie.

Odmruknął tylko coś w odpowiedzi na wesołe „good morning, panie dyrektorze"!

— Miał pan wizytę Rantona, kapitanie. A wczoraj wziął pan ode mnie pieniądze.

Jaz spojrzał nań ze zdziwieniem. Skąd Sedgwick mógł już wiedzieć o Rantonie. Nie ulegało już wątpliwości, że kapitan Kent był stale śledzony — pomyślał Jaz bezosobowo. — I to widocznie dokładnie inwigilowany, skoro znają każdy jego krok. Namyślał się bardzo prędko.

— Panie Sedgwick — zaczął bez ogródek — ja chcę nareszcie rozumieć o co tu chodzi. Przyjechałem do Chicago, ponieważ obiecał mi pan posadę. Przybyłem, a pan powiedział mi, że sprawa jest już nieaktualna. Trochę to było po świńsku, ale nic, w porządku, nie wymagam filantropii. Wieczorem spotkał mnie pan na dancingu z miss Murray i tu zaczęła się komedia. Dał mi pan pięćset dolarów, nie wiem za co, udając przy tym tajemniczego, jak bohater makabrycznego romansu kryminalnego. O co tu właściwie chodzi?

Sedgwick uśmiechnął się w odpowiedzi tak dziwnie, że Jazon sam nie wiedział, który z nich obu właściwie oszalał. Obaj?

— Zaznaczam jeszcze raz wyraźnie. Nazywam się Jazon Kent, jestem kapitanem marynarki handlowej, pochodzę z Toronto i nie wiem czego pan ode mnie chce i dlaczego mam otrzymać pieniądze. Ranton, czy jak mu tam, ofiarował mi aż tysiąc dolarów — za co, pytam. Przecież nie chcecie mnie zaangażować do filmu. Jestem mało fotogeniczny, pozatem nie czuję do tego powołania i — takie historie zdarzają się tylko w powieściach pośledniejszego gatunku. Mówię chyba wyraźnie.

Dyrektor Sedgwick patrzał przez chwilę w milczeniu.

— Pan jest nie tylko sprytny, kapitanie. Jest pan niezwykle ostrożny i to mi się podoba w najwyższym stopniu.

— Macie go! O jakiej ostrożności mowa. Od kiedy mówienie prawdy nazywa się ostrożnością. Dotychczas myślałem, że jest wręcz przeciwnie. Przecież ja mógłbym również udawać tajemniczego, wyłudzić od was obydwu pieniądze, skoro już na gwałt chcecie mi je dać za nic i — zwiać aż miło. Więc krótko i węzłowato. O co chodzi?

— Zatem znów ciuciubabka. Na co mi szczegóły, kiedy nie znam nawet ogółów. Dziękuję i moje uszanowanie. Za godzinę prześlę panu pieniądze w kopercie i umywam ręce.

— Ja też — rzekł Sedgwick wolno. — Ja też mogę dać tysiąc, a nawet więcej. Owe pięćset były tylko zaliczką. Dam więcej niż Ranton.

— Lecz za co!! Za co, na litość Boską.

— Na razie za to, że pan postara się „wejść w dom" Harolda Murray'a. Przyjdzie to panu łatwo ze względu na znajomość z jego córką. W tej chwili tylko to. W odpowiedniej godzinie otrzyma pan dalsze instrukcje.

— I za takie głupstwo mam otrzymać tysiąc dolarów!

— I wikt i utrzymanie, samochód do dyspozycji i ewentualną pomoc z naszej strony.

Jaz zdębiał i przez kilka minut siedział osłupiały. Nie, nie mogło mu się pomieścić w głowie. Powoli ochłonął i przyjrzał się bacznie swemu rozmówcy. Mr. Sedgwick wyglądał poważnie i wcale nie żartował. Chciał obcemu człowiekowi dać wszystko — za nic, na razie.

— Nazywam się Kent. Jazon Kent i nie jestem nikim innym.

— Wiem — uśmiechnął się bankier — wiem, że nazywa się pan Kent i zwracam się do kapitana Jazona Kenta. Gdyby nie pańska znajomość z miss Murray, może byłbym w końcu jednak zrezygnował z pańskich usług. Lecz tak, możemy się panem posłużyć.

— My? I do czego posłużyć?

— Nic więcej nie mogę powiedzieć — oświadczył Sedgwick stanowczo. — Mnie też wolno być ostrożnym i pan, właśnie pan — nie powinien się temu dziwić jako człowiek również ostrożny.

— Ale jutro o dwunastej przyjdzie do mnie Ranton. Co mu mam powiedzieć?

Montague Sedgwick uśmiechnął się znów tak zagadkowo i rzekł, akcentując każde swoje słowo uderzeniem ołówka w szklany blat swego komfortowego biurka.

— Ranton nie przyjdzie jutro o dwunastej...

Jazon Kent poczuł coś w rodzaju przejmującego dreszczu wzdłuż kręgosłupa i milczał. „Ranton nie przyjdzie jutro o dwunastej". Nie wiedział o co tu chodzi — ale zabrzmiało to jak: „świętej pamięci Ranton nie przyjdzie jutro o dwunastej". Jaza ogarnął nagle niezrozumiały, ale ogromny strach i pewność, że jeżeli odmówi, to i on... Mimo woli namacał rewolwer w kieszeni na piersiach. Montague Sedgwick zdawał się czytać w myślach siedzącego naprzeciw człowieka.

— Sądzę, że pan się zgadza, kapitanie Kent.

— Przyjmuję — odparł Jaz prawie podświadomie, lecz jednocześnie w duchu postanowił wręcz przeciwnie. W tej chwili odczuwał po prostu paraliżujący strach przed nieznanym.

— All right, captain. — Wstał. — Proszę spokojnie wrócić do hotelu i czekać na moje instrukcje. Wydam je panu albo osobiście, albo przez posłańca. W tym wypadku na liście znajdzie pan jako znak rozpoznawczy cyfrę... — zawahał się.

— Dwadzieścia trzy — dokończył Jaz za niego. — To pan chciał powiedzieć.

Sedgwick wcale nie ukrywał swego zdumienia, graniczącego z przerażeniem. Zbladł wyraźnie.

— Skąd pan wie?!... — wyszeptał.

— Przecież pan sam przyznał, że jestem sprytny — rzekł Jazon Kent tajemniczo i również wstał.

— Good bye, mister Sedgwick. Teraz idę na obiad, o piątej będę w hotelu.

Wyszedł, nie odwracając się i dlatego nie wiedział, że przez jedną sekundę życie jego zawisło dosłownie na włosku, albowiem Montague Sedgwick umiał strzelać niezwykle celnie i miał na lufie swego Colta doskonały, precyzyjny tłumnik Bergmanna.

ROZDZIAŁ X.

PAN, KTÓRY SPRZEDAWAŁ SZNUROWADŁA

Dopiero na dole, na rogu Wacker Drive uświadomił sobie Jaz, że sytuacja stała się wcale nie wesoła. Przystał na służbę — jak to inaczej nazwać — u tego groźnego człowieka, Montague Sedgwicka. Groźnego — o, co do tego nie miał już wątpliwości — i podjął się zadania, którego celów ani charakteru wcale nie znał. Nie odczuwał jednak wyrzutów sumienia. Był niemal pewny, że w razie odmowy skończyłoby się jeszcze gorzej i pod tym względem nie mylił się, o czym miał okazję dowiedzieć się już wkrótce. Po drugie, niemałym motywem przeważającym była instrukcja „wejścia w dom" Harolda Murray'a, ojca Thelmy.

Kapitan Kent nie był autohipokrytą i przyznał przed samym sobą, a raczej zwyczajnie stwierdzał stan faktyczny, — że miss Thelma Murray wywarła na nim wrażenie. Nie był już dwudziestokilkuletnim młodzieńcem zdolnym do śmiertelnego zakochania się trzy razy dziennie po jedzeniu i dlatego wiedział, iż jego uczucia, czy wrażenia, są w tym wypadku co najmniej... istotne. W końcu, nie widział, tam na górze, w gabinecie, innego wyjścia — jak zgodę. Lecz trzeba było przemyśleć sytuację, zastanowić się w końcu nad wytworzonym stanem rzeczy, poprostu — zdecydować się nie tylko formalnie, ale i rzeczowo.

Cliff szedł za nim w milczeniu, wiedział też kiedy wolno mu się odzywać, a kiedy to jest skądinąd zbyteczne, znał twarz swego kapitana. To też bez zbędnych pytań usłuchał jego znaku i wszedł z nim do małej, schludnej restauracyjki na North Clark Street, gdzie obaj zajęli miejsca przy jednym ze stolików. Jaz wybrał obiad z karty i kazał podać dwa.

Zapalił papierosa i wyglądał przez chwilę bezmyślnie przez wielką, lustrzaną szybę. Naprzeciwko widział duży budynek Hotelu Shermana, a z drugiej strony dolatywał przeciągły szum z sześciu mostów stalowych nad Chicago River. Ludzie, samochody, tramwaje, kolej napowietrzna i autobusy — wszystko to pędziło niewiadomo po co i dokąd. Przed hotelem Shermana stał starszy pan o rumianej twarzy, ubrany nędznie, i głośno wychwalał swój towar stanowiący jednocześnie jego całe mienie ruchome i nieruchome w postaci koszyka ze sznurowadłami, lusterkami, pędzlami do golenia i tym podobnymi drobiazgami. „Pętak — ale zadowolony z życia" — pomyślał Jaz i rozchmurzył twarz. Po co narzekać? Zobaczymy!

Nie ukrywał przed sobą sam, że najważniejszym bodźcem w jego decyzji, była miss Murray... — znów powrócił do niej w myśli. Montague Sedgwick miał twarz zdecydowanego przestępcy i zlecił Jazowi „wejść w dom" jej ojca. Kto wie, co knuł, stary drań - dyrektor. No nie, żaden sentyment, bez przesady — ale w razie czego, można sobie pozyskać wdzięczność milionera Murraya — snuł Jaz swe rozważania i zarumienił się naraz, zagryzł wargę. „A pieniądze wzięte od Sedgwicka, akcept i obowiązek — czy pan chce grać na dwa fronty, to nie po dżentelmeńsku, kapitanie!" Pal go siedem! Nie prosiłem Sedgwicka o nic i nie zobowiązałem się do niczego złego. Zawsze będzie czas wycofać się, udać się do kochanego Departamentu Kryminalnego (mister dyrektor jakoś miał niewyraźną minę, gdy Jaz wspomniał wczoraj o Departamencie Kryminalnym, teraz pamiętał) — i wyjawić im wszystko. Tak i tak, ja mam czyste sumienie, nie wiem o co chodzi i proszę mnie wziąć w obronę i basta.

Uspokojony więc zupełnie zjadł obiad, wypił swoje „ale" i spojrzał na Cliffa, który zamilkł dziwnie.

— Co się stało, bracie Hallet — udał Jaz powagę. — Czemu jesteś taki gnuśny, czarny kaznodziejo.

— Wcale nie gnuśny, sir. Tylko zajęty.

— Czem?

— Tajną obserwacją — rzekł Cliff zagadkowo, świadom wrażenia jakie wywrą jego słowa.

— Kogo obserwujesz i jaki to grzech śmiertelny i główny zauważyła wasza sepiowa wielebność.

— Widzi pan tego faceta, co tam sprzedaje sznurowadła. On szedł przez cały czas za nami od hotelu Stevensa, do banku La Salle'a i stamtąd aż tu. Teraz udaje, że handluje lusterkami. Ale to bujda — on nas śledzi.

Jazon zastanowił się i przypomniał sobie słowa Sedgwicka: „Miał pan wizytę Rantona, kapitanie" — i wnioski o śledzeniu, jakie on, kapitan, z nich wyciągnął. Nie przeraził się więc, jak to przewidywał Cliff i spokojnie zadysponował sobie tygodnik humorystyczny.

— Pan się nie boi, sir.

— Chcesz dostać swing za ucho, Cliff. Od kiedy to ja umiem się bać.

— Przepraszam, captain. Miałem na myśli, czy pana nie ciekawi ten sznurowadlarz.

— Ciekawi mnie, naturalnie.

— Mnie się nie podoba jego gęba. Ja się boję, przyznaję.

— Well — postanowił naraz Kent. — Przekonamy się wkrótce. Ja sobie przeczytam parę głupich dowcipów w tem piśmie, a ty uważaj tymczasem na niego. Potem wyjdziemy i niby nic nie widząc, zwabimy ptaszka na jakąś bardziej pustą ulicę. Tam zapytamy go wręcz, czy szuka guza.

— Okey! — ucieszył się Cliff. — Już dawno nie mieliśmy przygody portowej.

— Aha! A pamiętasz bójkę na korwecie w Korfu, jakem huknął w kolano tego porucznika, że aż przyklęknął.

— Pamiętam, sir.

— To bujasz, Cliff. Bo to nie było na Korfu na korwecie tylko w Zanzibarze w knajpie, nie było porucznika, tylko pastor anglikański i nie ja huknąłem jego w kolano, lecz on mnie w zęby. Poza tym wszystko dobrze zapamiętałeś.

Cliff wcale nie wydawał się zażenowany gaffą i głośnym śmiechem kapitana.

— Ale możemy jeszcze pojechać na Korfu, znaleźć jaką korwetę i huknąć jakiegoś porucznika w kolano, że aż przyklęknie.

— Kosztowne to będzie, lecz możemy!

— To i dobrze. Zrobimy to i moje kłamstwo zamieni się w prawdę.

Murzyn roześmiał się również i swoim zwyczajem urwał nagle, co Jaza zawsze najbardziej śmieszyło. Zabrał się do tygodnika i odłożył go po trzech minutach. Nieciekawe.

— Płacę i idziemy. Uważaj na swego sznurowadlarza, Cliff.

— O, już ja go pamiętam.

Nie patrzał umyślnie w stronę podejrzanego przez Cliffa osobnika, gdy normalnym krokiem zbliżyli się do postoju taksówek przed zajazdem hotelu Shermana. Jaz zagadnął pierwszego z brzegu szofera:

— Jestem cudzoziemcem i chciałbym trochę zobaczyć miasto. Proszę mnie zawieźć gdzieś na puste i spokojne miejsce. Nie znoszę waszego gwaru.

— Good, sir — skinął szofer z zadowoleniem, na myśl o dobrym kursie i otworzył drzwiczki.

— Tylko proszę za bardzo nie kołować, mój miły. Nie lubię być nabijany w taksówkę.

Kierowca nie obraził się i nawet zaśmiał się.

— zawiozę pana na Sheridan Road nad Clarendon Beach. Tam jest spokojnie i ładnie.

— Proszę jechać wolno — polecił Jaz wsiadając i dał znak Cliffowi. — Właź!

— On wsiada do prywatnego auta, captain. Miałem rację. Taka pętaczyna nie może przecież posiadać Lincolna.

Jazon rozparł się wygodnie i uspokoił murzyna stanowczym ruchem ręki i spojrzeniem.

— Nie denerwuj się. Nic nam nie zrobi. To albo człowiek Sedgwicka, lub też gość z paczki Rantona.

— Kto to za jedni?

Kapitan wyjaśnił mu spokojnie i opowiedział całą historię. Nie dla porady, ani ze strachu to uczynił. Poprostu odczuwał potrzebę wywnętrznienia się przed kimś z perypetyj tej dziwnej przygody. — Widzisz więc, — zakończył — że my tu nic nie ryzykujemy. W każdej chwili możemy się wycofać, gdyby zażądali ode mnie czegoś zbrodniczego. Lecz narazie, dlaczego by? Mamy hotel, forsę, wygodę i ładne perspektywy.

— Niezrozumiałe perspektywy.

— Powoli, Cliff. Kapitan Kent nie jest taki głupi, jak wygląda. Możesz mi wierzyć.

— Ja wierzę, sir.

— No to już. Jak tam nasz cień.

— Licoln jedzie za nami — odparł Cliff mimowoli szeptem, a Jaz wcale się nie roześmiał. Kim mógł być ten człowiek. Postanowił mocno, że musi się przekonać. Tymczasem szofer okazał się wyjątkowo uczciwy i niezachłanny na parę centów mniej lub więcej. Przez West Lake Street wyjechał na Michigan Boulevard, wyminął okazały gmach Randolph Street Station i przez Montgomery Ward et Co wyjechał na North Halsted Avenue jadąc wolno — jak mu nakazano — wzdłuż North Side Division. Na Irving Park Boulevard zatrzymał motor.

— Jesteśmy na miejscu. Jechać dalej? — sir.

— No! Tu wysiadamy. Ile licznik?

— Dwa dolary, szesnaście centów.

— Macie tu trzy i nie trzeba reszty.

— Many thanks, sir.

Odjechał zadowolony, a Jaz jeszcze przy płaceniu zauważył, że żółty Lincoln zatrzymał się nieopodal i czekał warcząc stukonnym motorem.

Jakby nigdy nic, ruszyli Jaz i Cliff w stronę Lawrence Avenue, będącą właściwie aleją gęsto zasadzoną starymi lipami. Wiedzie stąd wąska droga tarasowa nad brzegiem jeziora Michigan. Kapitan przyspieszył kroku i obejrzał się nieznacznie, ulica była pusta.

Ciąg dalszy nastąpi.



Niedziela, dnia 16 stycznia 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła po-Bernardyńskiego w Wilnie 10.30 Chorały Jana Sebastiana Bacha w wykonaniu Polskiej Kapeli Ludowej pod dyr. St. Kazury 11.00 Pół godziny marszów (płyty) 12.03 Poranek symfoniczny z Katowic 13.00 „Wilno jako ośrodek sztuki" — felieton 13.10 „Oryle" — epizod z noweli Sieroszewskiego „Powrót" 13.30 Muzyka obiadowa 14.40 „Przedstawiamy speakerów" 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Muzyka dwufortepianowa 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 „Panie Kochanku" — dramatyczna anegdota I. Kraszewskiego 19.30 „Słynni Wirtuozi" — Amelita Galli-Curci (płyty) 21.15 W 10-lecie Rozgłośni Wieńskiej — „Kukułka jubileuszowa" — „Rycerz bladego oblicza" 22.00 Recital śpiewaczy Tassiana 22.25 Koncert kameralny z Wilna

Poniedziałek, dnia 17 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 „Od warsztatu do warsztatu" 15.45 „Z pieśnią po kraju" — audycja z Poznania 16.15 „Poetyczne obrazki" w wyk. orkiestry Adama Hermana 17.00 „Największa na świecie kopalnia miedzi" — odczyt 17.15 Recital śpiewaczy Adeliny Korytko-Czapskiej 18.10 „Uczmy się polskich tańców" — lekcję prowadzi L. Wajszczuk 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja żołnierska 19.30 „Dyskutujmy: Spółdzielczość w gospodarstwie domowym" 20.00 Druga audycja Wielkiego Konkursu Zimowego Polskiego Radia — w wykonaniu artystów teatru „Małe Qui-Pro-Quo" 21.00 Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry P.R. 22.00 Arcydzieła muzyki symfonicznej (7 audycja).

Wtorek, dnia 18 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Gra Natan Milstein — skrzypce (płyty) 16.15 Walce Waldteufla — wykona orkiestra wojskowa 17.00 „W pustyni Trypolisu" — felieton 17.15 Recital fortepianowy Mieczysława Hoffmana 17.50 Niskie temperatury w przyrodzie — pogadanka 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Przy stoliku literackim": „Stabilizacja czy poszukiwania" — dyskusja 19.30 „Polska twórczość chóralna" (6 audycja) 20.00 „Mąż pod drzwiami" — operetka Jakuba Offenbacha 21.05 Koncert symfoniczny w wyk. Orkiestry Symfonicznej Pomorskiego T-wa Muzycznego z Torunia 22.05 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P.R.

Środa, dnia 19 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Suita „Z dziecięcego kącika" Claude Debussy'ego (płyty) 15.45 „Karol Lindbergh — twórca nowej epoki lotniczej" — pogadanka W. Frenkla dla dzieci starszych 16.00 „Uczmy się mówić" — w opracowaniu dyr. Trzcińskiego 16.15 Koncert rozrywkowy z Łodzi 17.00 „Wojna przyszłości" — odczyt 17.15 Recital wiolonczelowy Romana Pulikowskiego 17.50 „Znaczenie zabiegów kulinarnych dla higieny odżywiania" — odczyt 18.10 „Uczmy się polskich tańców" — lekcję prowadzi L. Wajszczuk 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Opowiadanie ojca" — fragment z powieści St. Piętaka 19.20 Pieśni dziecięce St. Kazury 19.35 „Bronisław Trentowski" — odczyt 20.00 Piosenki o ziemi ojczystej — koncert rozrywkowy 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Artura Hermelina 21.45 „Piękno mowy polskiej" — kwadrans poezji 22.00 Koncert rozrywkowy.

Czwartek, dnia 20 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Kolędy — poranek szkolny z Krakowa 11.40 Utwory Roberta Schumanna z płyt 15.45 „Wędrówki muzyczna" — audycja dla młodzieży z Wilna 16.15 Nasze tańce w wyk. Orkiestry Mandolinistów z Katowic 17.00 Wiedza i książka: „Działalność naukowa prof. Odona — Bujwida (w 80-tą rocznicę urodzin) — odczyt 17.15 Recital skrzypcowy Bernharda Lessnana 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 W setną rocznicę urodzin Jana Lama — aud. liter.-muzyczna 19.30 Recital śpiewaczy Ady Hecht 20.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Orok. Tadeusza Seredyńskiego 21.45 Fragment poematu „Anhelli" J. Słowackiego — w 100-lecie poematu 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 21 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 15.45 „Jak pracują nasze mamy?" — „Lekarka" — transmisja ze świetlicy szkolnej (z Wilna) 16.15 „Kalejdoskop" — koncert z Poznania 17.00 „Pracownice igły i nożyc" — pogadanka 17.15 „Francuska muzyka operetkowa od Lecocq'a po dzień dzisiejszy" (płyty) 18.10 „Uczmy się polskich tańców" — prowadzi L. Wajszczuk 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Pretendenci do tronu" — Henryka Ibsena (z Łodzi) 19.40 Muzyka lekka 20.00 Koncert symfoniczny — transmisja z Filharmonii Warsz.

Sobota, dnia 22 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Rapsodia Liszta (z płyt) 15.45 „Baśń o Tysiąconogu" — słuchowisko dla dzieci 16.15 Pieśni huculskie 17.00 „Poeta Powstania" (Mieczysław Romanowski) — szkic liter. 17.15 Recital skrzypcowy Wacława Niemczyka 18.15 Piosenki w wyk. Gracie Fields (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego 21.00 „Pożary stają z popiołów" w 75-tą rocznicę Powstania Styczniowego 21.50 Muzyka operetkowa i taneczna.



ZYSKI DO PODZIAŁU

Dwaj kupcy zjawiają się u rejenta i podpisują umowę. Mają zamiar założyć fabrykę beretów. Udziały wnoszą równe, toteż i zyski mają być dzielone pół na pół.

Rejent sporządził już akt, powpisywał różne klauzule, ostatni raz rzuca okiem na papier i nagle spostrzega brak.

— Szanowni panowie — mówi, — a co będzie, jeżeli fabryka spłonie?

Obaj kupcy odpowiadają:

— Zyski do połowy, panie rejencie!

WŚRÓD KUPCÓW

Pewien kupiec warszawski popadł w trudności płatnicze. Wierzyciele uregulowali z nim długi na 25 proc. Podczas krytycznego czasu kupiec się nigdzie nie pokazywał, przy czym uchodziło, że wskutek upadku interesu ciężko się rozchorował.

Po uchyleniu upadłości kupiec znowu zjawił się w kawiarni pod filarami. Pewego dnia spotkał go tam jeden z wierzycieli.

— No, panie Koziołek, jakże tam idzie panu po swej ciężkiej chorobie — zapytuje wierzyciel nieco ironicznie.

— Tak sobie, pan przecież widzi.

— Tak, tak — powiada wierzyciel — wygląda pan naprawdę o 75 proc. lepiej.

FATALNE BRAKI

Pan Pentelka zaręczył się przed kilku tygodniami i nagle zerwał z narzeczoną, nie mówiąc nikomu o przyczynie.

— Co się właściwie stało — pyta go przyjaciel.

— Ano trudno — objaśnia Pentelka — przekonałem się, że papiery mojej narzeczonej nie były w porządku.

— Z powodu takiego głupstwa zerwać? Przecież można się było wystarać o duplikaty?

— Kiedy to były papiery procentowe.

WYMÓWKA

— Chodzi pan chętnie na koncerty?

— Nie! To nie dla mnie. Jestem głuchy na jedno ucho.

— To nie szkodzi. Może pan sobie drugie zatkać watą!

GENTELMAN

Sędzia do poligamisty: — Dlaczego pan poślubił aż cztery żony?

Oskarżony: — Bo ja panie radco mam już taką naturę, że nie potrafię kobiecie niczego odmówić.

BUCHALTERIA

— Czy potrafi pani prowadzić podwójną buchalterię?

— Naturalnie! Na ostatniej posadzie prowadziłam nawet potrójną!

— Potrójną? Jakżeż to

— Jedną dla szefa, jedną dla odbiorców — no a jedną dla Urzędu Skarbowego.

WŁASCIWY TYTUŁ

— Moje uszanowanie, panie profesorze! — żegna portier hotelowy nieznanego gościa, któremu udzielił informacji.

— Dlaczego tytułuje mnie pan profesorem?

— Bo tylko profesor jest tak roztargniony, że nie daje napiwka.

DBA O RASĘ

— Panie hrabio, pan jest bardzo niedokrwisty. Muszę panu zapisać środek, aby miał pan więcej krwi.

— Ale proszę uważać, żeby to była krew błękitna.

SZCZYT SKROMNOŚCI

— Przykro mi bardzo, proszę pana, ale brakowało tylko jedno zero, a byłby pan wygrał w naszej kolekturze 100.000 zł.

— Nic nie szkodzi, potrafię zadowolnić się także 10-ma tysiącami.

NA GIEŁDZIE

Znany giełdziarz warszawski po trzech miesiącach od 80 rocznicy swych urodzin zapada w ciężką chorobę. Jego towarzysze zawodowi odwiedzają go i próbują pocieszać:

— Przy pańskiej kompleksji przeniesie pan chorobę doskonale. Pan Bóg zachowa pana dla nas conajmniej do 90 lat.

Stary giełdziarz uśmiecha się i odpowiada.

— Dlaczego Pan Bóg ma mnie wziąć po 90, kiedy może mnie wziąć po 80 i ćwierć?

REWANŻ

Podczas polowania, woła jeden strzelec do drugiego:

— Ty bydlaku! Teraz o mało nie zabiłeś mojej żony!

— Przepraszam — odpowiada tamten — następnym razem pozwolę ci zato raz wystrzelić do mojej żony!

WE MGLE

— Ona: Słuchaj Pawle! mam wrażenie, że coś się przewróciło! Pewnie przejechaliśmy kogoś!

— Chwała Bogu! To znak, że jesteśmy jeszcze na gościńcu!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a preumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych 1/2 strony 225.— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 31 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.